

ISSN 1427-597X

Nowe Horyzonty

pismo lewicy

n r 2

1 9 9 7 r

ISSN 1427-597X

Nowe Horyzonty

pismo lewicy

nr 2

1997 r

Redaguje zespół w składzie: Wiesław Bek, Jan Dziewulski, Władysław Góral-
ski, Jerzy Kraszewski, Jarosław Ładosz (redaktor naczelny), Zygmunt Najdowski

WYDAWCA: Jarosław Ładosz. Warszawa, ul. Hoża 9

Jarosław Ładosz

KONSTYTUCJA OGRANICZONEJ SUWERENNOŚCI

Na pierwszy rzut oka ranga prawa międzynarodowego określana w uchwalonej 2 kwietnia 1997 r. przez Zgromadzenie Narodowe Konstytucji RP wyraża ducha czasu, dopasowuje państwo do procesów przebiegającej burzliwie w skali światowej i regionalnej integracji. Aż w szesnastu artykułach Konstytucja dotyka kwestii prawa międzynarodowego, zawiera normy regulujące obowiązki z tego prawa płynące - to dużo: co piętnasty artykuł. A pięć artykułów w całości stanowi o zasadach i sposobach funkcjonowania tego prawa wewnątrz państwa polskiego. W pierwszym rozdziale Konstytucji zatytułowanym, nie wiadomo dlaczego, "Rzeczpospolita", umieszczono art. 9, który proklamuje uroczystie, że "RP przestrzega wiążącego ją prawa międzynarodowego". Artykuł 91 stanowi o pierwszeństwie ratyfikowanych umów międzynarodowych przed krajowymi ustawami i rozporządzeniami, uznaje te umowy za część wewnętrznego porządku prawnego i nadaje im moc „bezpośredniego stosowania”. Dotyczy to również praw stanowionych przez organizacje międzynarodowe, gdy RP w drodze ratyfikowanej umowy stała się ich członkiem, a członkostwo do respektowania ich obliiguje.

Gdy włączyć się w tekst, rodzą się ogromne niepokoje. Bowiem przepisy o miejscu prawa międzynarodowego w RP otwierają szeroko wrota do ograniczania suwerenności i niepodległości Polski. Artykuł 90 zezwala na przekazywanie w istocie bez granic kompetencji władz państwowych organizacjom zewnętrznym, gdyż ograniczenie „w niektórych sprawach” jest tak nieprecyzyjne, że może oznaczać w „dowolnych” sprawach. Konstrukcja konstytucji najwyraźniej otwiera drogę do radykalnego ograniczania suwerenności przez przekazywanie jej Unii Europejskiej, Unii Zachodnioeuropejskiej, NATO czy zreformowanej ONZ. Prawa stanowione przez takie organizacje będą w RP „bezpośrednio stosowane”. Bezprzedmiotowe staną się zarzuty o poddaniu się dyspozycjom MFW, Banku Światowego itp. Ustępstwa suwerenności zawarte w konkordacie są niewinne, dotyczą małych spraw, w porównaniu z nowymi

„możliwościami” otwartymi przed rządzeniem się w Polsce jak we własnym domu przez „organy międzynarodowe”. Składną obowiązek zawarcia konkordatu wpisano też do naczelnego rozdziału „Rzeczpospolita” (art. 25) W wykonaniu art. 90 państwu watykańskiemu wolno „przekazać” takie „niektóre” kompetencje RP jak prawo rodzinne i małżeńskie.

Jednocześnie koszyk przepisów o miejscu prawa międzynarodowego pociąga za sobą poważne ograniczenie roli parlamentu w stanowieniu porządku prawnego w RP, a wzmocnienie prawodawczej funkcji władzy wykonawczej - rządu i prezydenta. Uchwalona Konstytucja uznaje **wszystkie** ratyfikowane umowy międzynarodowe za część wewnętrznego porządku prawnego i nadaje im moc bezpośredniego stosowania. I to nie tylko umowom ratyfikowanym przez prezydenta na mocy upoważnienia w ustawie przez Sejm, ale również zawieranym wyłącznie przez rząd i ratyfikowanym przez prezydenta bez udziału Sejmu! Sejm zawarte przez rząd umowy międzynarodowe może tylko aprobować w całości lub w całości odrzucić. Nie przysługuje mu „inicjatywa ustawodawcza” kształtowania treści umów ani ich powodowania. A wszystkie te umowy są stosowane bezpośrednio! Rząd i prezydent mają więc otwarte szerokie możliwości omijania ustaw i treści rozporządzeń określną drogą - przez zawieranie umów międzynarodowych, wymuszanie szantażem na Sejmie pozbawienia mocy określonych ustaw bądź ich wybranych przepisów. Przykładem o „drobnych” następstwach skutków takiej konstrukcji są kilkuletnie przepychanki wokół konkordatu. Sejm zmienić go nie może. Upoważniając do ratyfikacji czyni jego przepisy o aktach stanu cywilnego, małżeństwach, grzebaniu zmarłych, nauczaniu religii w szkołach i przedszkolach itp. bezpośrednio stosowalnymi ponad świeckimi ustawami i rozporządzeniami dotąd obowiązującymi. Ale to ostatecznie kaszka z mlekiem. Bo z chwilą ratyfikacji członkostwa Polski w Unii Europejskiej stanowione przez władze UE obligatoryjne dla państw-członków prawo będzie bezpośrednio stosowane **przed prawem krajowym**, zarówno to, które wymaga jednomyślnej zgody rządów, jak i to, które przyjmowane jest kwalifikowaną większością rządów państw członkowskich. Bez ratyfikacji parlamentów! Tylko zmiany „konstytucji” UE - traktatu z Maastricht - podlegają ratyfikacji parlamentów krajów członkowskich..

Na dodatek Trybunałowi Konstytucyjnemu nadaje się prawo nieodwołalnego obalania każdej ustawy Sejmu orzeczeniem nie tylko o jej niezgodności z konstytucją, ale i z ratyfikowanymi przez Sejm umowami międzynarodowymi, ratyfikowanymi nawet taką kwalifikowaną większością, jakiej wymaga uchwalenie konstytucji i jej zmienianie (art. 188 i 190 w zbiegu z art. 90)! Co więcej, piętnastu panów, sędziów Trybunału Konstytucyjnego może odrzucić

jako niekonstytucyjne także umowy międzynarodowe lege artis przez prezydenta za zgodą czy bez zgody parlamentu ratyfikowane.

Kamufluje to wszystko zawilość, brak spójności w samych przepisach uchwalonej Konstytucji, wikłanie się w sprzeczności. Bardzo to szlachetnie, że art. 9 nadaje konstytucyjną rangę banalnej zasadzie: „RP przestrzega wiążącego ją prawa międzynarodowego”. Wiążące zaś oznaczać ma, wydawałoby się, nic innego, jak „ratyfikowane”. Jednak, jak wspomniano, projekt odróżnia dwa typy ratyfikowania - przez Sejm w formie ustawy i, bez Sejmu - przez prezydenta na wniosek premiera. O tych ostatnich prezydent tylko „zawiadamia” Sejm i Senat, a Prezes Rady Ministrów także Sejm o zamiarze ich zawarcia (art. 133 i 89). A i jedne i drugie stają się częścią prawa wewnętrznego i są bezpośrednio stosowane. Ponadto art. 88 otwiera furtkę ratyfikowania tajnych umów.

Na dodatek w art. 146, ust. 4 nadaje się rządowi moc zawierania i wypowiedzania bliżej nieokreślonych „innych umów międzynarodowych”. Czy są one również wiążące? Wreszcie „prawa organizacji międzynarodowej” - po wymagającej ratyfikacji umowie o przystąpieniu do niej - stają się także „wiązącymi” na mocy ust. 1 art. 90. Tutaj pojawia się faktycznie trzeci rodzaj ratyfikacji, która jest jakąś ratyfikacją „pośrednią”, „na kredyt”, ex ante dokonaną już ponad parlamentem, rządem, prezydentem, a nawet TK. I one mają pierwszeństwo przed ustawami sejmowymi oraz są bezpośrednio stosowane (art. 91, ust. 3). Stosowane, choć nie ma nawet wymogu ich urzędowego opublikowania po polsku!

Wprawdzie art. 89 wylicza, jakie to umowy międzynarodowe wymagają ratyfikacji za zgodą Sejmu i na uparte go można by interpretować, że dotyczy to wszystkich umów, skoro dotyczy umów, które obciążają RP pod względem finansowym oraz wszelkich materii już przez wewnętrzny ustawowy porządek prawny uregulowanych bądź, których ustawowego uregulowania konstytucja expressis verbis wymaga. Ale to otwiera jedynie bezgraniczne możliwości odwiecznych sporów kompetencyjnych, bo przecież projekt przewiduje i inne od wymienianych w art. 89 umowy ratyfikowane i nieratyfikowane.

Dla prawa z „ratyfikacji pośredniej” też niby mamy bezpiecznik: art. 90 wymaga, by otworzył jej drogę i Sejm i Senat większością 2/3 głosów. Ale nie zmienia to faktu, że **mamy tu utratę suwerenności i akceptowania prawa wiążącego RP bez udziału władz RP** i nawet bez ogłaszania po polsku (już dziś wciąż nam się mówi o mistycznym „dostosowaniu prawa do europejskich standardów” - to wyrażana ezopowym językiem zasada wyższości prawa nadawanego przez władze pozapolskich podmiotów). A ponadto - jakież używanie dla TK! 15 panów sędziów przed nikim nie odpowiedzialnych, jeśli im przyjdzie fantazja, odrzucą wstąpienie do UE czy do NATO nieodwołalnie

i ostatecznie, bo nic łatwiejszego jak uzasadnić sprzeczność postanowień Traktatu z Maastricht z uchwaloną Konstytucją. Zwłaszcza **Maastricht, który jest zawierany na nieograniczony czas i bez możliwości wypowiedzenia, a "deleguje" decyzje o stanowieniu nie niektórych, lecz wszystkich niemal suwerennych praw RP na władze UE.** 15 panów może to uczynić, ale naród nie może, jeśli Sejm nie zechce, bo przyjęta przez Zgromadzenie Narodowe konstytucja, referendum w tej kwestii przewiduje tylko fakultatywnie (art. 90, ust. 4). A z drugiej strony panowie w TK mogą unieważnić każdą ustawę, doszukując się jej sprzeczności nie tylko z konstytucją, lecz i z każdą ratyfikowaną umową międzynarodową, a i z każdą normą *ex post* stanowioną przez władze międzynarodowej organizacji, do której na mocy umowy przystąpiono i zobowiązano się do respektowania norm przez nią stanowionych, bowiem ma ona wyższość nad wewnętrznokrajową sejmową ustawą!

Na koniec - to, że wiążące RP są wyłącznie umowy międzynarodowe ratyfikowane, jest tylko pozornie oczywiste. Twórcy konstytucji bowiem zapominają niekiedy o tym ograniczeniu i wiążą nas prawem międzynarodowym w ogóle. A przecież ono istnieje i działa! Oto w art. 42, ust. 1 łamie się zasadę *lex retro non agit*, zezwalając na pociąganie do odpowiedzialności kamej za czyny, które nie były ustawowo zakazane przez ustawy krajowe w czasie ich popełnienia, a uznane w owym czasie za przestępcze w prawie międzynarodowym „w ogóle”.

A co będzie, jeśli RP ratyfikuje konwencje niezgodne ze sobą i z własnym ustawodawstwem. Które prawo ma wówczas pierwszeństwo? Np. Powszechna Deklaracja Praw Człowieka ONZ zakazuje zmuszania ludzi do przynależności do stowarzyszeń, Europejska - nie zawiera takiego przepisu, zaś polskie prawo aktualne i uchwalona konstytucja zmusza do takich praktyk (izby lekarskie, pielęgniarские, radców prawnych itp., przewidywane przez konstytucję dodatkowe korporacje). Już dziś mamy zabawne praktyki: z okazji 50 rocznicy Powszechnej Deklaracji dyrektor z MSZ w pierwszym programie państwowego radia¹ wychwala pod niebiosa wyłącznie Europejską Kartę praw i to głównie za to, że jej ratyfikacja ogranicza naszą suwerenność przez poddanie się jurysdykcji trybunału powołanego przez Radę Europy - twór Unii Zachodnioeuropejskiej - międzynarodowej militarnej organizacji, której Polska nie jest członkiem.

* * *

Historia zatoczyła osobliwy krag. Wspólnocie socjalistycznej „opozycja demokratyczna”, tj siły restauracji kapitalizmu, zarzucała hołdowanie „breżniewowskiej” doktrynie „ograniczonej suwerenności”. Doktryny takie

w żadnym kraju realnego socjalizmu nie głoszone, w żadnej konstytucji tych krajów jej nie zapisywano. Oczywiście, faktyczne ograniczenia były, było poddawanie się dyktatowi „starszego brata”, zwłaszcza w praktyce funkcjonowania Układu Warszawskiego. Lecz w konstytucji, w prawie nie było w istocie zapisów o podległości, ograniczeń suwerenności, zapisów o wyższości prawa międzynarodowego nad prawem PRL. Wprowadzony u schyłku „realsocjalizmu” przepis w art. 6 o umacnianiu przyjaźni i współpracy z ZSRR i innymi państwami socjalistycznymi nie stanowił sam przez się żadnego naruszenia suwerenności, stanowił jedynie w chorej wyobraźni antykomunistów.² I był wyrazem głupiego luzosostwa ówczesnego kierownictwa PZPR.

I oto autorzy nowej konstytucji IV RP otwarcie wprowadzają do jej tekstu artykuły ograniczające suwerenność RP, z całą procedurą podporządkowania jej suwerennych ustaw prawom narzucanym z zewnątrz jako prawom wyższego rzędu. Dzieje się to pod akompaniament okrzyków: nareszcie jesteśmy we własnym domu, odzyskailiśmy niepodległość i suwerenność. Przynajmniej poseł Bugaj, wódz Unii Pracy, szczerze mówi reporterowi telewizji o ograniczaniu suwerenności.

Mamy wszakże do czynienia z obłudną i pokrętną kampanią propagandową i pseudonaukową, która jawnie głosi doktrynę ograniczonej suwerenności, a jednocześnie usiłuje ją prezentować jako najnowszy i współczesny wyraz suwerenności. Oto w dyskusji opublikowanej w „Rzeczpospolitej” pt. „Suwerenność - drażliwy temat dla Polaków” z udziałem, pod przewodnictwem Stefana Bratkowskiego, tuzów socjologii, historii i doktryny „konstytucjonalizmu”, (emitowanej równocześnie w I programie warszawskiego radia) uczestnicy przyznają, że cedujemy część suwerenności, narzekają, że Polacy cierpią na „neurotyczny lęk przed ograniczeniem suwerenności”, że to dla ich szczęścia i za ich zgodą samooograniczamy się wchodząc do UE i NATO, ale i ogłaszają, iż zarzuty rezygnacji z suwerenności - to nieporozumienie i insynuacja³

Andrzej Ajnenkiel wskazuje nam jako **wzór godny naśladowania ograniczenia suwerenności państw Europy przed wiekami przez przynależność do wspólnoty chrześcijańskiej.** Michał Pietrzak ogłasza, że **już utraciliśmy pewne części suwerenności „i tego nikt nie zauważył”** (kapitałne! - czyżby!?). A najlepszy jest Piotr Winczorek: argumentuje, że nie tylko w nowej naszej konstytucji, ale we wszystkich krajach - członkach UE prawo UE ma pierwszeństwo przed prawem krajowym;⁴ że stosunki wewnątrz UE „bardziej przypominają... stosunki ustrojowe w państwie niż stosunki, jakie istnieją w klasycznych organizacjach międzynarodowych”, że w UE jest „rozgałęzio-

na sieć organów władzy decydujących we wspólnych sprawach niejako ponad organami państw członkowskich (nie tylko „wspólnych” i czemu „niejako!”); że organa UE „**mogą podejmować decyzje wiążące organy państw, które do Unii należą, i to wbrew nawet ich woli**”; że „stracimy kiedyś swoją narodową walutę, a to był jeden z atrybutów suwerenności” itd. I wspólnie z prof. Anną Turską stwierdza, że UE jest organizacją, „zmierzającą krok po kroku w kierunku jakiegoś rodzaju federacji europejskiej”.

I wraz z tym głoszą, że nie ograniczamy suwerenności, że nowoczesnie ją pojmujemy. W dyskusji radiowej robi się przez płatanie, kto jest i jak jest suwerenem z suwerennością. No cóż - różni bywali i są suwereni: królowie, cesarze, führerzy, duce, parlamenty, lud szlachecki i lud roboczy, naród i obywatele, różne ustroje - monarchie, teokracje, autokracje i demokracje, republiki. Lecz suwerenność państwa nie zależała i nie zależy od kształtu suwerena. **Agitatorzy ograniczonej suwerenności ogłaszają, że suweren może suwerennie zrzec się suwerenności, aby tylko czynił to lege artis! To oczywiście prawda. Może. Ale jeśli to uczynił z wolnej i nieprzymuszonej woli nawet, to pozostaje faktem, że zrzekł się czy ograniczył suwerenność właśnie, że państwo, które uosabiał utraciło suwerenność!!**

Wejście do federacji czy w federację jest zawsze ograniczeniem suwerenności, choćby najbardziej dobrowolne. Jest - z reguły - bezterminowe i bez możliwości wystąpienia. Tak jest ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Płn., tak z obecną Federacją Rosyjską. Tak też jest z Unią Europejską. Tak było - jak wiadomo - z ZSRR faktycznie, choć teoretycznie, w zapisie konstytucji republiki zachowywały prawo wyjścia ze Związku.

Bratkowski zawoła w dyskusji, uzupełniając Ajnenkiela, który usprawiedliwia demokratycznie przeprowadzaną „rezygnację z części funkcji państwowych na rzecz ponadnarodowej struktury” wtrąceniem: „z możliwością wycofania się”. Inni tłumaczą, że chodzi o rezygnację „tylko” z niektórych państwowych kompetencji. Jakby nie wiedzieli, że **do UE wstępuje się na wieki, bez możliwości legalnego, zgodnego w unijnym prawie wystąpienia. I że UE, NATO, UZE łącznie obejmują wszystkie dziedziny polityki i gospodarki w Istocie**, że nie darmo nawołuje się nieustająco do dostosowania do unijnego i do natowskiego wszelkiego polskiego ustawodawstwa. Toteż zdumiewa kończąca dyskusję konkluzja „socjologa prawa”, Turskiej, że jednostką podstawową ponadpaństwowej UE pozostaje „suwerenne państwo narodowe, dbające o zachowanie swojej tkanki kulturowej i swoich tradycji kulturowych”. Przewrotnie to prawdziwe. Po realizacji Maastricht urzeczywistni się ideał dawnej socjaldemokracji Austrowęgier: autonomia kulturalno narodowa. Bo to bodaj-

że jedyna dziedzina, w której Traktat Maastricht nie ingeruje, a i biurokracja brukselska jest mało aktywna.

Jak natomiast już wygląda nasza suwerenność - każdy widzi. Ostatnio amerykański senator J.R. Biden wydał nam wyraźne polecenia z radością i bez komentarzy ogłoszone w "Gazecie Wyborczej"⁵. Polecił autorytatywnie: „Rząd [polski] nie może zatrudniać i zwalniać dziennikarzy” w państwowej telewizji „wedle swojej woli.”; „... banki, sektor energetyczny, państwowe linie lotnicze, państwowy producent miedzi i monopol telekomunikacyjny, będą musiały być sprywatyzowane”. Musicie być gotowi do obrony swoich nowych sojuszników, gotowi ponieść „ludzkie koszty waszych żołnierzy”, aby sprostać nowym wyzwaniom NATO „poza jego obszarem.” I wielmoża senator komunikuje: „Otrzymałem plan modernizacji sił zbrojnych, który Polska musi podjąć niezależnie od tego, czy wejdzie do NATO. W najbliższych miesiącach będę go analizował...”. Kto przekazał mu ten plan? Czy prokuratura wojskowa wszczęła śledztwo? Czy już uznano, że plany wojskowe nie są tajemnicą państwową, a ich radosne przekazywanie byle wizytatorowi z USA nie narusza suwerenności? Tytuł nadany przez „GW” jest wyjęty z wystąpienia Senatora. Klarownie i szczerze: **dajemy wam wolność nie za darmo - za rezygnację z suwerenności**. Czy w czasach PRL jakikolwiek oficjalny reprezentant „starszego brata” bądź któregośkolwiek z „bratnich krajów” przemawiał takim chamskim językiem i był z radością i aprobatą publikowany?! A może rząd socjaldemokratów w Polsce uwarunkowałby nasze przystąpienie do NATO natychmiastowym spełnieniem żądania, by Amerykanie zlikwidowali u siebie Ku Klux Klan?

Jedno stawia Winczorek jasno. Określone posunięcia są rezygnacją z suwerenności zależnie od tego na rzecz kogo się je czyni. Jeśli na rzecz UE i NATO, to nie ma sprawy. „Nikt chyba nie sugeruje, aby zamiast na Zachodzie szukać aliansów na Wschodzie i zabiegać o włączenie Polski do Wspólnoty Niepodległych Państw” - woła do czytelnika. Fakt - nikt nie sugeruje tego ostatniego. Lecz abstrakcyjnie rzecz biorąc dziś w tej Wspólnocie mamy rzeczywiście niepodległe i zachowujące suwerenność państwa, bez „starszego brata”, w czym wypadaloby się orientować uczonemu konstytucjonaliście.

To prawda - wolno narodowi suwerennie zrezygnować z własnego domu, podporządkować się organom zewnętrznym razem ze swym parlamentem, zrezygnować z własnego państwa narodowego. Lecz nie wolno tego obłudnie nazywać suwerennością państwa i niepodległością. I obłudnie, zezwalając na ograniczenie suwerenności i integralności państwa, równocześnie prezydenta, który do tych ograniczeń zachęca, jest komiwojażerem nakłaniania rządów NATO i UE, by zechciały wziąć nas pod swą kuratelę, zobowiązywać do tego, by strzegł suwerenności i niepodległości RP.

Przypisy

¹ W "Sygnałach dnia" 28 stycznia 1997

² Już prędzej - art. 6, ust 2 konstytucji NRD: "NRD jest na zawsze i nieodwołanie sprzymierzona z ZSRR. (...) NRD jest nieodłączną częścią składową Wspólnoty Państw Socjalistycznych..."

³ Audycja radiowa 8 marca 1997 r. o godz. 10.30. Tekst dyskusji w dodatku "Plus Minus" do "Rzeczpospolitej" z 8-9 marca, zatytułowany "*Suverenność - drażliwy temat dla Polaków*".

⁴ Obok wypowiedzi Winczorka we wspomnianej dyskusji odwołujemy się także do tekstu jego artykułu *Protokół nieporozumień* w nr 54 "Rzeczpospolitej" z 5 marca 1997 r.

⁵ *Wolność nie jest darmo. Wczorajsze wystąpienie senatora USA Josepha R. Bidena*, "GW" z 26 marca 1997 r. Wystąpienie miało miejsce w "Stowarzyszeniu Euroatlantyckim" na Uniwersytecie Warszawskim. Senator jest liderem mniejszości demokratycznej w komisji spraw zagranicznych.

J. Szadoł

NIEPODLEGŁE SĄDOWNICTWO PONAD I NAD NARODEM

I

Przeczytać mogliśmy niedawno w solidnej antykomunistycznej gazecie, że amerykańska praktyka interpretowania konstytucji przez sąd najwyższy i orzekania przezeń o niekonstytucyjności ustaw prowadzi do „...uznania **władzy kilku sędziów, niereprezentatywnych i nieodpowiedzialnych przed nikim**, którzy mogą uchylać demokratycznie przyjęte ustawodawstwo na podstawie swojego rozumienia konstytucji (która - na mocy tego argumentu - nie ma jednoznacznej treści)”. Autor tej wypowiedzi zapytuje: „Jak to pogodzić z demokracją?”.

O racjach, niezbędnych dla przyznania Trybunałowi Konstytucyjnemu mocy ostatecznego orzekania o zgodności lub niezgodności ustaw z konstytucją pisze: „Nie wystarczy uznać, że parlament jest marny, naciski wyborców niebezpieczne, świadomość parlamentarzystów mizerna. [...] Trzeba jeszcze uznać, że sąd jest lepszy, by ta jego przewaga instytucjonalna przeważała nad nieuchronnymi wątpliwościami co do **powierzenia tak potężnej władzy organowi nie odpowiadającemu przed społeczeństwem**”. Utrzymuje dalej, że „Każda decyzja o niezgodności ustawy z konstytucją oznacza spór interpretacyjny, a w istocie spór o wartości. Jeśli Trybunał uznaje, że jakaś ustawa jest niezgodna na przykład z zasadą sprawiedliwości społecznej, to nie znaczy przecież naprawdę, że większość parlamentarna rzeczywiście złamała konstytucyjny przepis - z niewiedzy, cynizmu lub lekceważenia konstytucji - ale tylko, że pojawił się oto spór co do właściwego rozumienia prawdziwej treści „sprawiedliwości społecznej””.

„W systemie, w którym sądy konstytucyjne mają prawo unieważniać ustawy, mają one w istocie prawo obalania woli większości parlamentarnej na podstawie swoich wartości”. „Dlaczego [...] mamy sądzić, że w ewentualnym sporze między większością parlamentarną a Trybunałem Konstytucyjnym co do właściwego rozumienia treści konstytucji to właśnie sąd, a nie parlament ma rację?”.

Cytaty te dedykuję parlamentarzystom i przywódcom SLD, którzy entuzjastycznie już doprowadzili do rozszerzenia kompetencji TK, a w uchwalonej nowej konstytucji przyznają uprawnienia jeszcze szersze, nadając jego orzeczeniom ostateczny, nieodwoływalny charakter. Naiwnie uwierzyli, że

wymaga tego „nowoczesna demokracja”, „nowoczesny konstytucjonalizm” i dopasowanie do „standardów europejskich”. Może nieco oprzytomnieją pod wpływem przytoczonych myśli, wyjętych z artykułu napisanego przez autora, który bynajmniej nie jest wrogiem „transformacji ustrojowej”, zakamuflowanym stalinowcem. Przeciwnie - opowiada się szczerze za najszerszymi kompetencjami dla TK!!! Jest nim niejaki Wojciech Sadurski, a zamieściła go „europejska” „Rzeczpospolita” (nr 238 z 11.10.96 r.).

Sadurski pisze: „Jeśli TK rzeczywiście powinien mieć kompetencje unieważniania ustaw na podstawie ich niekonstytucyjności, to raczej dla takiego postępowania [...] mają charakter wyłącznie pragmatyczny, a nie wynikają z żadnych pryncypiów, na przykład z zasady podziału władzy”. Nie wynikają też z konstytucjonalizmu, ochrony mniejszości czy tp. Autor jest cynicznym reakcjonistą: również demokrację traktuje „pragmatycznie”. Jest świadom, że TK kasujący parlament - to nie demokracja, a jej łamanie; że to nie podział władz, a jego naruszanie. Świadom, że TK to organ nieodpowiedzialny przed społeczeństwem. Ale jest za, bo... ma większe zaufanie do składu TK niż do wrednych i ignoranckich parlamentarzystów!

Rekomendujemy gorąco parlamentarzystom SLD zapoznanie się z całością artykułu Sadurskiego. Niech się dowiedzą, że Sąd Najwyższy w USA przypisał sobie prawem kaduka nadrzędne nad Kongresem prawo orzekania o treści konstytucji, bowiem amerykańska konstytucja nie dała mu go i nie daje; że francuska Rada Konstytucyjna nie ma prawa kasowania ustaw przez parlament przyjętych, może w nie, i to w sposób ograniczony, ingerować tylko *ex ante*; że w Wielkiej Brytanii nie ma żadnego trybunału konstytucyjnego i żadne sądy nie mogą kwestionować ustaw.

Rekomendujemy, by uwolnili się od sofistycznego i demagogicznego argumentu, iż parlament nie może być sędzią we własnej sprawie. Tyle on wart, co sztubackie dowody na rzecz ateizmu: jeśli Bóg świat stworzył, to kto stworzył Boga. Jeśli TK orzeka suwerennie o treści ustaw, to ta treść jest jego sprawą, i wyrokuje on we własnej sprawie. W ogóle sądem jest tylko z nazwy, a faktycznie jest usytuowaną ponad parlamentem instytucją ustawodawczą. Przypisanie mu takiej pozycji stanowi jaskrawe złamanie trójpodziału władzy.

Konstytucja uchwalona przez Zgromadzenie Narodowe nadaje TK kompetencje szersze niż obecnie obowiązujące i już przez TK bezkarnie rozdymane, bowiem „wszystkie siły polityczne” zadeklarowały, że są one za wąskie. Lista uprawnionych do zaskarżania aktów prawa przed TK (art. 191) powiększona zostaje niepomniernie, ale osobliwie: będą mogły przed jego oblicze pozywać parlament kościoły, ale nie związki ludzi niewierzących, będzie mógł

każdy obywatel w "skardze konstytucyjnej". Wydłuża się kadencję sędziów TK do lat 9 i wprowadza (art. 194) przepis, że mogą nimi zostać wyłącznie sędziowie (nawet profesorom konstytucjonalistom nie wolno, nie wolno prawnikom, którzy nie są sędziami). Ponoć ma to być „standard europejski”. A przecież we Francji członek Rady Konstytucyjnej w ogóle nie musi być prawnikiem, a w najstarszej europejskiej demokracji - Szwajcarii - na sędziego sądu najwyższego może być wybrany każdy obywatel!).

Na koniec, dla orzeczeń TK art. 190, ust. 4 daje sankcję jawnemu odstępowaniu od zasady *lex retro non agit*: nie tylko pozwala TK kasować jako niekonstytucyjne ustawy obowiązujące od dziesięcioleci, lecz ponadto zezwala wznawiać postępowanie i uchylać decyzje w sprawach choćby przed stuleciem na ich podstawie prawomocnie podjęte przez sądy i organy administracji..

Panowie parlamentarzyści - demokraci. Oprzytomnijcie! Praktyka już was popycha co raz do ocknięcia się: 25 listopada 1996 r. na komisji doprowadziście do skreślenia z projektu prawo TK do stanowienia obowiązującej wykładni ustaw. Ale już po kilku miesiącach, przy drugim czytaniu w Zgromadzeniu Narodowym, skłonni byliście wycofać się lękliwie. Przemyślcie, jak teraz zapobiegać szkodom już przesądzonym! Otworzyliście wrota dla uchylania nie tylko wszelkich prawomocnych decyzji okresu PRL, ale i wszystkich królów polskich!

II

Uprawnienia i pozycja TK budzi przynajmniej dyskusje - wątle, nieśmiałe, ale torujące sobie drogę. Jednakże uchwaloną konstytucję przepaja istna obsesja uczynienia z całego sądownictwa - pod hasłem jego „niezawisłości” - władzy najbardziej i absolutnie niezawisłej od nikogo, wypreparowanej ze społecznej tkanki demokracji, tworzącej w niej osobliwe getto. I to w stopniu bodajże nigdzie indziej nie spotykany! Do całego sądownictwa, gdy jego ustrój w konstytucji nakreślony wejdzie w życie, pasują słowa Sadurskiego wypowiedziane o TK: nieodpowiedzialna przed nikim i niereprezentatywna władza.

Sądy mają być bowiem powoływane i rządzone przez hermetycznie zamkniętą korporację sędziów (samorząd sędziowski). Ich skład personalny ma być kształtowany przez pączkowanie oparte na kooptacji, na samomianowaniu dożywotnio na godność i urząd sędziego przez Krajową Radę Sądownictwa, która jest w istocie naczelną instancją sędziowskiej korporacji. Nieśmiertelność, nieodwoływalność i powoływanie przez klonowanie konstytucja rozciąga również na Sąd Najwyższy i Naczelny Sąd Administracyjny.

Powoływanie sędziów w drodze wyborów przez Sejm na określoną kadencję zachowano w projekcie jedynie dla TK i Trybunału Stanu, ale i tutaj

decyzja Sejmu została ograniczona na rzecz korporacji. Do TK. wybrać na sędziów można wyłącznie sędziów (art. 194). Do Trybunału Stanu połowa wybranych musi posiadać „kwalifikacje wymagane do stanowiska sędziego” (art. 199) (dokładnie „większa połowa”, bo dodatkowo przewodniczy mu z urzędu Pierwszy Prezes SN - sędzia; ponadto zastępcami przewodniczącego mogą być tylko sędziowie), a o tych kwalifikacjach orzeka samorząd sędziowski.

Dla doprowadzenia do końca hermetyczności sądownictwa zrezygnowano z nadania konstytucyjnego charakteru instytucji powoływanych w wyborach powszechnych ławników i nadania im równego z sędziami zawodowymi głosu w orzekaniu. Sprawa została odesłana do ustawy zwykłej, i to w artykule dziwnie sformułowanym (lecz na ironię trafnie). Art. 182 głosi: „Udział obywateli w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości określa ustawa”. Kropka! Tym samym sędziowie nie są traktowani jako obywatele! Słusznie i konsekwentnie zresztą. Pozbawia się ich bowiem przyznanego wszystkim obywatelom prawa do należenia do partii politycznych, a nawet do związków zawodowych, do kandydowania do parlamentu i do prowadzenia działalności niezgodnej z sędziowską niezależnością (art. 178, ust. 3 i art. 102, ust. 2) W imię „apolityczności”. Czemu nie zabroniono udziału w praktykach religijnych, wypowiedania się w mediach - nie wiadomo.

Wreszcie dwukrotnie powtórzono nadanie sędziom przywileju: państwo obowiązane jest wyposażać ich w warunki pracy i wynagrodzenie odpowiadające godności urzędu (art. 178, ust. 2 i 195, ust. 2). Wygląda to wręcz humorystycznie. Konstytucja nie przewiduje bowiem takiego „przywileju” dla nikogo innego w państwie, nie przyznaje go żadnej innej kategorii urzędników - ani prezydentowi, ani ministrom, ani prokuratorom, wojewodom, policjantom, posłom, nie mówiąc już o nauczycielach, uczonych, lekarzach zatrudnionych w służbie państwa!

III

Art. 4 konstytucji orzeka, iż „władza zwierzchnia w RP należy do Narodu”, który „sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio”. Tymczasem, w świetle przepisów konstytucji, władza sądownicza, w odróżnieniu od ustawodawczej i wykonawczej, nie podlega zwierzchności narodu. Czy takie sądownictwo jest w ogóle władzą, a jeśli to jaką? Czy to nie sprzeczne z art. 10, iż „ustrój RP opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej”. Przecież Naród Sędziów trudno uznać za Naród, chyba że sędzia Zoll ze swą drużyną tak orzeknie, da taką wykładnię! Nic tu nie pomoże to, że - widocznie by uniknąć jaskrawej

sprzeczności - w ostatecznym tekście konstytucji skreślono obecny we wcześniejszej wersji art. 4 zapis, że owi przedstawiciele Narodu mają być „demokratycznie wybrani”!!!

Ktoś może nam zarzucić, że tendencyjnie, złośliwie referujemy zapisy konstytucji. Przecież w art. 179 „stoi napisane”, że sędziów powołuje prezydent. A ten jest przez naród wybrany, a więc sędziowie - wybrani przez naród pośrednio. Podobnie, w art. 183 i 185 zapisano, że prezydent powołuje prezesów SN i NSA.

Otóż takie podporządkowanie Narodowi jest nie tylko cynicznie pośrednie, lecz okazuje się całkowicie pozorne. Albowiem prezydentowi wolno mianować i musi mianować sędziów wyłącznie spośród kandydatów przedstawionych przez Krajową Radę Sądownictwa. Jest to funkcja figuranta czy, jeśli ktoś woli, reprezentacyjna i honorowa, jak przy mianowaniu profesorów. No, odrobinę szersza, bo przykładowo wolno mu mianować na sędziego Strzębosa, albo Zolla, Iksińskiego albo Igrekowskiego. Podobnie, prezesów SN i NSA prezydent ma powołać wyłącznie spośród kandydatów przedstawionych przez - odpowiednio - zgromadzenia ogólne sędziów tych sądów. Może przynajmniej KRS jest „pośrednio” wybrana przez Naród. Nic podobnego. Składać się ma ona z 17 sędziów, 6 parlamentarzystów, przedstawiciela prezydenta i Ministra Sprawiedliwości. (art. 187) Sędziowie mają więc zagwarantowaną nie tylko większość, lecz kwalifikowaną większość 2/3 głosów. W istocie przedstawiciele Narodu i przedstawiciele przedstawicieli Narodu są w jej składzie kwiatkiem do kożucha, a KRS jest faktycznie naczelną instancją sędziowskiej korporacji i niczym więcej. Wprawdzie art. 187 stanowi, że 15 z tych 17 sędziów (2 wchodzi z urzędu - prezesi SN i NSA) jest „wybranych” nie wiadomo przez kogo (bo nie przez Boga, nawet gdyby była invocatio Dei), ale wiadomo, że wyłącznie „spośród sędziów Sądu Najwyższego, sądów powszechnych, sądów administracyjnych i sądów wojskowych” na 4-letnią kadencję. Chyba nie przez obywateli w wyborach powszechnych ani nie przez Sejm, bo by to napisano.

W lakonicznym artykule o „udziale obywateli” w sądownictwie nie zapisano nawet, że mają być przez naród bezpośrednio czy pośrednio wybrani, że udział ma być reprezentatywny, że obligatoryjny we wszystkich sądach, że równoprawny z sędziami. W zgodzie z konstytucją będzie wprowadzenie wszelkich pomysłów na ten udział. A więc niezawisły klan sędziów - nawet nie prawników-specjalistów w ogóle, lecz kooptowany z kręgu prawników - oto władza sądownicza. I to ma być realizacja „równowagi” władz i podziału władz! Równoważyć się ma władza od narodu zawisła i władza ponad narodem formowana.

IV

Jest kompletnym złudzeniem i samooszukiwaniem usprawiedliwianie takiej koncepcji sądownictwa jako gwarancji niezawisłości sądów naruszanej przez „komunizm” i traktowanie jej „radykalizmu” jako odkupienia za grzechy. W konstytucjach europejskich państw socjalistycznych niezawisłość sądów zapisana była nie gorzej niż w konstytucji takiej demokracji sprzed ponad 200 lat jak USA, nie gorzej niż w konstytucjach demokratycznych państw Europy zachodniej. A jednocześnie nie proklamowano, że sądownictwo jest niezależne od narodu, że nie jest mu podporządkowane i przed nim odpowiedzialne. Nie czyniono złudzeń, że sądy i sędziowie mogą być apolityczni i że na tym polegać ma ich niezawisłość. Łamanie niezawisłości nie wynikało w krajach socjalistycznych z niedostatku zapisów, lecz m.in. z ich nierespektowania, notorycznego naruszania.

We wszystkich konstytucjach socjalistycznych państw Europy przewidywano wybieralność sędziów na określoną kadencję w drodze wyborów przez obywateli lub(i) przez przedstawicielskie organy władzy terenowej i krajowej. W stalinowskiej konstytucji ZSRR sędziowie sądów najniższego szczebla - ludowych - wybierani być mieli w wyborach powszechnych, bezpośrednich, równych i w tajnym głosowaniu (art. 109). We wszystkich sądach sprawy miały być rozpatrywane z udziałem ławników ludowych (art. 103). W konstytucji NRD przewidywano powoływanie sędziów i ławników w drodze demokratycznych wyborów bezpośrednio przez obywateli bądź przez organy przedstawicielskie władzy (art. 94 i 95). Konstytucja PRL z 1952r. stanowiła w art. 50, ust. 1: „Sędziowie i ławnicy ludowi są wybierani”. Wszystkie konstytucje krajów socjalistycznych zawierały zapis o niezawisłości sędziów, o podleganiu ich tylko ustawom (art. 112 konstytucji stalinowskiej, art. 52 konstytucji PRL, art. 96 konstytucji NRD itd.). Wszędzie były zapisy gwarantujące prawo obywateli do obrony. Konstytucja NRD szczególnie dokładnie i szeroko rozwijała gwarancje, m. in. decyzje sądu o aresztowaniu w ciągu 24 godzin, doręczenie przez prokuratora zarzutów itp. We wszystkich krajach socjalistycznych zapisy o wybieralności władz sądowych były realizowane faktycznie (z naruszeniami tajności, demokratyzmu). Polska Ludowa była tu wyjątkiem. Zapis o wybieralności sędziów pozostał na papierze, należał do sławnych zapisów, którym notorycznie brakło przepisów wykonawczych, chociaż wydania ich w formie ustawy wymagał ust. 2 artykułu 52. W latach 70 - tych w imię „niezawisłości sądów” art. 52 usunięto z konstytucji, wprowadzając mianowanie sędziów przez Radę Państwa bezterminowo, bez kadencyjności, a ławników ludowych przez Rady Narodowe. Ustawą powołano KRS tylnymi drzwiami

przypisując jej decydującą rolę w powoływaniu sędziów. Obecnie uchwalona konstytucja IV RP w obszarze statusu sądownictwa ma więc rodowód ze schyłku Polski Ludowej, z czasów wprowadzania do konstytucji kierowniczej roli partii. Obecnie uchwalona konstytucja doprowadza antydemokrację ustroju sądownictwa do końca - likwiduje wybieralność przez przedstawicielskie władze, pośrednio przez naród i kadencyjność sędziów sądów najwyższego szczebla. Gdy w PRL wycofano się z zapisu o wybieralności sędziów, odstępowano od ich kadencyjności, bynajmniej nie sprawiło to, że zniknęły wypadki łamania niezawisłości.

Wprowadzenie zapisu o kierowniczej roli partii do konstytucji nie spowodowało też nasilenia ingerencji władz partyjnych w orzekanie przez sądy. To przed wprowadzeniem tego zapisu takie ingerencje faktycznie były większe niż w czasach ich pozornego „uprawomocnienia”. Wiara w to, że zakaz przynależności sędziów do partii politycznych czy związku zawodowego uczyni ich apolitycznymi i stanowi wymóg demokracji, jest śmiechu warta, jest samooszukiwaniem siebie i narodu. Czy objęcie stanowiska sędziego sprawi, że wyrzeknie się poglądów politycznych, którym dotąd hołdował. Jeśli tak, to trzeba uznać go za obłudnika i karierowicza niegodnego urzędu. A jeśli sprzeniewierzy się dotychczasowej politycznej wierze, to bynajmniej nie oznacza, że pozbędzie się wszelakiej. Odpowiedzialność sędziów przed narodem - oto najmocniejsza gwarancja osłony ich od politycznych nacisków i przeszkoda ich uleganiu, gwarancja kierowania się wyłącznie zależnością od ustaw.

Jak wygląda owa „apolityczność” w praktyce? Zapis o niej już obowiązuje, a Strzębosz prowadził własną kampanię na prezydenta apolitycznie? Sam dał „wykładnię”, że bierze urlop, a na urlopie wolno mu działać w polityce! Czy apolityczne jest demonstrowanie przez Prezesa SN stronnictwość w Sejmie w toku dyskusji nad złagodzeniem restryktywności ustawy antyaborcyjnej?

Niezawisłość sędziów od narodu to nie restytucja niezawisłości sędziowskiej, lecz otwarcie drogi dla pogłębienia powiązań i motywacji w postępowaniu i orzecznictwie stronnictw właśnie. Otwarcie, bo wyjęcie sędziów spod kontroli narodu. Zwłaszcza w kapitalizmie, gdzie popycha ku stronnictwość zależność od pieniądza, od bogactwa, która w systemie funkcjonowania tej władzy jest nieuchronna i pod której presją sędziowie są co dzień i co godzinę. Prawnicy generalnie, a zwłaszcza adwokaci, radcy prawni, konsultanci podatkowi, uczeni - prawnicy, notariusze i sędziowie są pod mocniejszym naciskiem potężnych lobbies biznesu, wielkich interesów niż parlamentarzyści, radni, a nawet prezydenci czy wójtowie. Korporacje prawnicze kontrolują w istocie politykę orzecznictwa skuteczniej niż partie polityczne i kontrole par-

lamentarne. Przywódcy korporacji opłacani są mackami kapitału i przezeń forowani. Sądy kapturowe korporacji zagrażają ich członkom mocniej niż kontrola narodu. Przykład uwikłania w politykę i mafie aparatu sprawiedliwości we Włoszech jest tu klasyczny, we Włoszech, gdzie ustrój sądownictwa jest bodajże najbliższy ustanowianemu przez kierowaną pod referendum konstytucję IV RP. C.W. Mills wyśmienicie pokazał w "Białych kołnierzykach" mechanizmy sprawujące, że prawnicy, w tym sędziowie, są pravicowi w poglądach znacznie nad przeciętną, podobnie jak kadra oficerska. I czym wyżej - tym (statystycznie biorąc) bardziej reakcyjni.

„Apolityczność”? Czyż nie jest wszędzie tak, że im sądy wyższe, tym bardziej jaskrawo polityczne. Czym procesy głośniejsze, dotyczące wielkich afer, wielkich pieniędzy, tym bardziej polityczne procedowanie i orzekanie. Przed sądami najwyższymi niemal każdy proces jest polityczny.

W USA to Sąd Najwyższy „apolitycznie” sankcjonował segregację rasową w szkołach, praktyki maccartyzmu, polowania na czarownice, a później równie gładko za sprzeczne z tą konstytucją ogłaszał to, co poprzednicy jego za zgodne uznali. To w RFN Trybunał Konstytucyjny sankcjonował Berufsverbot, a ostatnio uznał, że udział Bundeswehry w okupacji Jugosławii i w interwencyjnych wojskach przeciw Irakowi jest zgodny z konstytucją, która *expressis verbis* zakazuje udziału armii niemieckiej w wojnach poza granicami kraju.

Nasz TK wstąpił się podobnymi par excellence politycznymi łamaniami, gdy orzekł, że zarządzenie ministra o wprowadzeniu do szkół religii jest zgodne z konstytucyjną świeckością państwa i rozdziałem kościoła od państwa. Tenże TK „apolitycznie” uznaje za niezgodne z konstytucją uwłaszczenie (ograniczone zresztą) terenów ogródków działkowych przez Związek Działkowców, stając na straży interesów spekulacji terenami miejskimi i niszczenia zieleni. NSA wstąpił się „apolityczną” decyzją pozbawienia PSL własności siedziby zbudowanej ze składek członków na terenie przydzielonym przez władze miasta, broniąc podobnego typu spekulantów. Albo zakazuje państwowemu szpitalowi prowadzenia otwartej apteki, stając po stronie korporacji aptekarzy, przeciw interesom i mas chorych i publicznej służby zdrowia, i - ostatecznie - budżetu państwa, podatników.

Czy to nie wyraz skuteczności nacisku na sądownictwo wielkich grup interesów krajowych i zagranicznych, spętania go przez nie, gdy procesy w sprawach wielkich afer i wielkich bandytów ciągną się latami, gdy Bagsiki, Gąsiorowscy, wielcy mafiozo odpowiadają z wolnej stopy, gdy ciągnie się sprawa FOS, sprawa afery alkoholowej, sprawa BKO latami. Czy to wyraz apolityczności, gdy latami ciągnie się reklamowany proces w sprawie śmierci Prze-

myka, gdy powraca się w koło do „pożyczki KPZR dla PZPR”, gdzie nikt nie ukradł? Czy to apolitycznie, że wznawia się proces niewątpliwego szpiega Kuklińskiego, obstawionego wybitnymi adwokatami, a równocześnie zatrudnia aparat ścigania i śledczy wyraźnie prowokacyjną „sprawą Oleksego”?

To nie pragmatyzm decyduje o koncepcji ustroju sądownictwa danej w konstytucji. To nie pragmatyzm usprawiedliwia uczynienie z sądów władzy ponad narodem, nieodpowiedzialnej przed nikim. To różnice wartości, jak rzecze Sadurski, a za nimi - interesów klasowych i koteryjnych we wzajemnym splocie.

A jednocześnie zapomniano w konstytucji o zagwarantowaniu dostępności sądów powszechnych, sądów pracy dla ludzi pracy. Nie zauważa się, że rosną opłaty sądowe, że lakoniczny zapis art. 45, iż każdy ma prawo do sądu, i to sądu sprawnego, sprawiedliwego, jawnego, niezawisłego, bezstronnego, bez kunktatorstwa, i że każdy ma prawo do obrony (art. 42, ust. 2), są niewiele warte, gdy nie każdego stać na procesowanie się, na dobrego adwokata. Do obrony prawo ograniczone jest zresztą tylko do postępowania karnego. Tymczasem środki, by każdemu realizację tego prawa otworzyć są stokroć mocniejszym narzędziem wymuszania niezawisłości sądownictwa i sędziów, obrony tej władzy przed naciskami możliwych tego świata, niż pomysły, by uczynić z niej pozornie izolowany folwark korporacji.

Korporacjonizm wszelkich „wolnych zawodów” wprowadza sankcję na członków korporacji ze strony jej bosów i odpowiedzialność przed korporacją, potęgując niezawisłość od narodu i poczucie nieodpowiedzialności przed nim. Przymus przynależności do korporacji jest sprzeczny z art. 20, ust. (2) ratyfikowanej przez Polskę Powszechniej Deklaracji Praw Człowieka ONZ, który głosi, że „nikt nie może być zmuszany do przynależności do stowarzyszenia”.

Dziennikarze zwykli uważać media za czwartą władzę, która ogłasza się za niezależną. Ale nikt jeszcze nie usankcjonował tej „władzy” w konstytucjach. I jej niezawisłość jest w jeszcze większej mierze chimera, niż niezależność sądownictwa. Przecież w Polsce aktualnie jest kompletną niezawisłością od narodu, ale i kompletną zależnością od właściciela mediów, a 90% wielkonakładowej prasy należy wręcz do zagranicznego kapitału. Zaś nawet państwowe radio i telewizja zostały uwolnione od zależności od władzy wykonawczej. To zadatek na konstytucyjne usankcjonowanie niezawisłości mediów od narodu.

V

Nie zamierzamy przedkładać własnego kompletnego programu zapisów ustroju sądownictwa spełniających wymogi demokratyzmu. Sprawa wymaga głębokiej specjalistycznej dyskusji i rozstrzygnięć między różnymi

wariantami możliwymi na gruncie określonych demokratycznych zasad, znoszących struktury, które czynią z sądownictwa władzę nie wyłanianą nawet pośrednio przez naród, a sędziów nieodpowiedzialnymi przed narodem i stojącymi poza kontrolą narodu. Realizacja takiej demokratycznej organizacji sądownictwa mogłaby - przykładowo - przewidywać:

Po pierwsze: Powoływanie zawodowych sędziów w drodze wyborów powszechnych bądź dokonywanych przez przedstawicielskie władze wyłonione w drodze takich wyborów. Dla zapewnienia fachowości, która jest niezbędna w obliczu ogromnego rozrostu ilościowego ustawodawstwa, obejmowania nim coraz szerszych dziedzin życia społecznego, powoływanie w drodze wyborów musi być dokonywane wyłącznie spośród osób legitymujących się wyższym wykształceniem prawniczym.

Po drugie: Sędziowie wszystkich rodzajów sądów powinni być powoływani na określoną kadencję (zróżnicowaną ewentualnie w zależności od rodzaju sądu). Dożywotność bowiem oznacza uwolnienie, po wyborze, od kontroli narodu i od odpowiedzialności przed nim. Kadencje należałoby przewidywać dłuższe niż kadencje członków władzy ustawodawczej i w wyborach odnawiać okresowo tylko część składu sędziowskiego poszczególnych sądów. Należałoby także nie stawiać żadnych ograniczeń reelekcji po upływie kadencji.

Po trzecie: Konstytucyjnie zagwarantować uczestnictwo w postępowaniu sądowym ławników i sędziów przysięgłych, których głos w orzekaniu byłby równy sędziom zawodowym. Ławnicy powinni być wyłaniany w wyborach powszechnych, a przysięgli w drodze losowania - jedni i drudzy spośród ogółu obywateli.

Oczywiście przywrócić należy sędziom wszystkie już odebrane i przewidziane do odebrania w konstytucji prawa obywatelskie: przynależności do partii politycznych i do działalności politycznej, możliwości kandydowania do parlamentu i do rady gminy, na prezydenta i na wójta, przynależności do związku zawodowego itp. Co się tyczy tego ostatniego, niech sami sędziowie decydują, czy należą do związku zawodowego pracowników sądownictwa czy tworzą sobie odrębny związek zawodowy sędziów, lecz w obu wariantach przynależność musi być dobrowolna, a nie o korporacyjnym, przymusowym charakterze.

Jeśli chodzi o wybory sędziów, różne warianty są możliwe. Przykładowo wariant powoływania sędziów sądów stopnia podstawowego w drodze wyborów powszechnych przez obywateli zamieszkałych w rejonie ich właściwości, zaś sędziów sądów wojewódzkich i apelacyjnych przez odpowiednie

zgromadzenia wszystkich radnych gmin terytorium właściwego temu sądowi. Sędziów Sądu Najwyższego i NSA powoływałby Sejm. Rola prezydenta ograniczałaby się do wręczania nominacji - tak jak profesorom.

Takie rozwiązanie mieści się w kręgu znanych od stuleci w tradycjach demokratycznych państw. Można też pokusić się o rozwiązania nowatorskie: na przykład powierzyć całokształt wyborów sędziów wszystkich szczebli Krajowej Radzie Sądownictwa powoływanej, obok parlamentu, w wyborach powszechnych, z odnawianą w terminach parlamentarnych wyborów 1/3 składu - ciału nie korporacyjnemu jak dziś, do którego mogliby na równi z innymi obywatelami kandydować sędziowie, prokuratorzy, notariusze, adwokaci czy radcy prawni.

Tak przekształcona KRS uniezależniałaby w pełni powoływanie sędziów od władzy ustawodawczej i wykonawczej, a zarazem wcielała ich służebność narodowi i podległość jego kontroli.

Cosię tyczy Trybunał Stanu, to jego sędziów powinno wybierać Zgromadzenie Narodowe w połowie spośród własnego składu i w połowie spośród sędziów i profesorów prawa (w wypadku powołania zreformowanej jak wyżej KRS - tę drugą połowę ona). Jednocześnie należałoby wyłączyć Trybunał Stanu z sądownictwa parlamentaryzistów. Ci ostatni, po zgodzie izby na postawienie przed sądem bądź po upływie kadencji, odpowiadałoby wg zwykłej procedury stosowanej do ogółu obywateli.

Na koniec Trybunał Konstytucyjny nie powinien mieć charakteru sądu, lecz fachowego ciała wysokiej rangi specjalistów - prawników, stanowiącego organ parlamentu, przez parlament powoływany, lecz o daleko idącej niezawisłości fachowej. Jego członkowie powinni być wybierani i nieodwoływalni w toku kadencji dłuższej od kadencji parlamentu (z ewentualnym odnawianiem składu w 1/3 na początku tej ostatniej). Jego naczelne zadanie - orzekanie o konstytucyjności projektów ustaw głównie *ex ante*, z własnej inicjatywy, na zlecenie izby, rządu, prezydenta (i ewent. KRS), a tylko wyjątkowo - *ex post*. W obu wypadkach parlament - suweren władzy ustawodawczej - zachować powinien prawo odrzucenia orzeczeń i wykładni TK kwalifikowaną większością głosów.

Oczywiście - pełna niezawisłość sądów, sędziów i ławników w orzekaniu przez sądy, w procedurze stosowanej przez sędziów. To demokratyczne powoływanie władzy sądowniczej właśnie skuteczniej niż oderwanie sądów od narodu gwarantuje ich niezawisłość od władzy wykonawczej i ustawodawczej. Nie tylko nie mogą ich te władze usuwać, ale i mianować, zastępować w toku kadencji. Dodatkowo należałoby powierzyć wybór prezesów sądów ich

zespołom sędziowskim, powierzyć im realizowanie budżetowych środków na sądownictwo przeznaczonych, a NRS - podział tych środków między sądy. Związek zawodowy pracowników sądów lub sędziów powinien być przez KRS, Ministra Sprawiedliwości obligatoryjnie konsultowany w kwestiach ustroju sądownictwa i jego budżetu.

Wszystko to nie wyklucza, a przeciwnie - zakłada - kontrolę orzecznictwa sądów przez SN i KRS, analizowanie go przez Ministerstwo Sprawiedliwości i rząd w celach formowania polityki penitencjarnej i inicjatyw ustawodawczych, nie wyklucza debat w parlamencie nad kierunkami orzecznictwa sądów i ich sprawnością.

Wreszcie niezbędne są dla demokratyzmu sądownictwa zapisane w konstytucji i ustawach prawa obywateli do dostępności sądu i obrony, do pomocy prawnej. W zasadzie sądownictwo powinno być bezpłatne, a "haracz" ściągany od wysokości pozyskanej wartości majątkowej nie ex ante, jako warunek otwarcia postępowania, lecz wyłącznie ex post, po prawomocnym orzeczeniu. W sprawach karnych zagrożonych więzieniem na żądanie oskarżonego musi mu być zapewniony obrońca z urzędu, w sprawach rozpatrywanych przez sąd pracy - jeśli pracodawca ma adwokata, pracownikowi przysługuje adwokat z urzędu, a koszty jego ponosi pracodawca, gdy sąd orzeka racje pracownika. W sprawach cywilnych, gdy ktokolwiek z uczestników angażuje adwokata, jego uposażenie nie może obciążać pozostałych uczestników. To wszystko - w obu instancjach. Oto przykładowe przepisy, których brak w konstytucji, a które dodatkowo chroniłby sądy od uzależnienia od bogactwa, od nacisków z jego strony, od przewagi bogactwa nad prawem i sprawiedliwością.

Przypisy

¹ Art. 190, ust. 4 głosi: "Orzeczenie TK o niezgodności z Konstytucją, umową międzynarodową lub z ustawą aktu normatywnego, na podstawie którego zostało wydane prawomocne orzeczenie sądowe, ostateczna decyzja administracyjna lub rozstrzygnięcie w innych sprawach, stanowi podstawę do wznowienia postępowania, uchylecia decyzji lub innego rozstrzygnięcia na zasadach i w trybie przewidzianym w przepisach właściwych dla danego postępowania."

² Rzecznikowi Praw Obywatelskich zakazano także przynależności do partii politycznych i związków zawodowych, i ogólnie - prowadzenia działalności publicznej nie dającej się pogodzić z godnością urzędu (art. 209, ust. 3). Sugeruje to, że działalność w partii jest niegodna. Widocznie dlatego zakazuje się jej sędziom.

List profesorów w sprawie artykułu 13. Konstytucji

W uchwalonej przez Zgromadzenie Narodowe Konstytucji RP. artykuł 13. przewiduje zakaz działania partii i organizacji społecznych, które w swych programach odwołują się do "totalitarnych metod i praktyk faszystowskiego, nazistowskiego i komunistycznego". W związku z tym 11 profesorów zwróciło się do Prezydenta RP. z apelem, w którym czytamy m.in. (Red.)

"Zwracamy się do Pana, Panie Prezydencie z apelem o zgłoszenie do artykułu 13, uchwalonej przez Zgromadzenie Narodowe konstytucji - poprawki polegającej na skreśleniu fragmentu zakazującego partii i organizacji "odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazistowskiego, faszystowskiego i komunistycznego".

Jest to bowiem przepis wieloznaczny, umożliwiający jego różnorodną interpretację, również taką, która godzić będzie w podstawowe swobody obywatelskie, a w konsekwencji spowodować może ograniczenie swobody głosu poglądów, badań naukowych itp.. Sądzymy, że druga część tego artykułu wystarczająco chroni przed działaniami zagrażającymi porządkowi społecznemu.

Niejasne jest bowiem, czy zakaz będzie dotyczył tylko tych partii i organizacji, które "odwołują się do metod totalitarnych", czy też uznaje się, że np. komunizm z natury rzeczy jest systemem totalitarnym. Skutki prawne obu interpretacji będą oczywiście różne.

Niejasne jest również, co rozumie się przez pojęcie "komunizm". Myśl komunistyczna ma wielowiekową historię, przechodziła i przechodzi znaczną ewolucję. Dzisiaj ruch komunistyczny poszukuje nowych możliwości urzeczy-

wistniania swej fundamentalnej idei - organizacji społeczeństwa sprawiedliwoci społecznej opartej na uspołecznionej własności środków produkcji.

Sformułowanie zawarte w tym paragrafie sugeruje, że zakazane będą tylko te partie i organizacje, które "odwołują się" do totalitarnych metod faszystowskiego

zmu, nazizmu i komunizmu, z czego logicznie wywnioskować można, że “odwoływanie” się do totalitarnych metod o innej proveniencji jest dopuszczalne. A przecież, jak dowodzi historia, prawie każdy z nurtów politycznych i ideowych występujących współcześnie, miał w swej przeszłości okres “totalitarnych metod i praktyk działania”, do których można również i dzisiaj “odwołać się”.

Jest to wreszcie przepis zakazujący istnienia partii i organizacji, nie na podstawie tego, co robią lub zamierzają robić, ale do czego się “odwołują”. (Nawiasem mówiąc - nie wiadomo co znaczy “odwoływanie się do metod i praktyk” - odwoływać się, wg Słownika Języka Polskiego, można do autorytetów, zasad, honoru, sądu itp., ale nie do metod i praktyk.) W żadnym z europejskich krajów nie uznaje się takiej zasady konstytucyjnej. W większości z nich działają legalnie partie komunistyczne i uczestniczą, z różnym powodzeniem, w demokratycznym systemie politycznym tych krajów.

Apel nasz wynika przede wszystkim z troski o losy polskiej demokracji. Poprawka ta uchroni przed przyjęciem konstytucji zawierającej przepis sprzeczny z zasadami obowiązującymi w państwach demokratycznych i międzynarodowymi paktami.”

Polska a Unia Europejska

Andrzej M. Zawisłak

DROGI I BEZDROŻA INTEGRACJI

Profesor Andrzej Zawisłak - ekonomista, minister gospodarki w rządzie K. Bieleckiego, poseł na Sejm I kadencji z ramienia "Solidarności", obecnie kierownik katedry w Wyższej Szkole Zarządzania - przygotowuje do druku nową książkę, polemizującą z koncepcjami integracji Polski z Unią Europejską. Jest to druga, po "Wypisach z dziejów wiarołomstwa i naiwności", jego praca poświęcona skutkom wchodzenia Polski do struktur europejskich, w której ostrzega przed następstwami tego procesu.

Zamieszczamy fragment tej książki zatytułowanej "Integracja dla opornych" oraz rozmowę z jej autorem na temat problemów i zagrożeń, które niesie wchodzenie Polski do struktur europejskich. [Red.]

Według osiemnastowiecznego pisarza angielskiego L. Sterne (1762) "starożytnie ludy między Wisłą i Odrą miały mądry zwyczaj deliberowania dwukrotnie nad ważnymi sprawami: raz po pijanemu, aby narodom nie brakło wigoru, i na trzeźwo, aby nie brakło rozważań..."¹ Ponieważ żadnej deliberacji w ważnej sprawie przystąpienia mojego kraju do Unii Europejskiej ciągle nie mogę się doczekać, zacznę ją sam i na trzeźwo!

My, Polacy... (wybacz Czytelniku ten początek jak w preambule do Konstytucji, ale to dla przyciągnięcia Twojej uwagi), a więc, my Polacy, przy wszystkich naszych zaletach, dorobiliśmy się, i chyba słusznie, opinii narodu swarliwego oraz podzielonego w każdej sprawie nieomal dla zasady. Aliści - i tu ciekawostka przyrodnicza! - w ostatnich latach wszystkie kolejne polskie rządy jednogłośnie i niezmiennie deklarują nieskazoną najmniejszymi wątpli-

wościami wolę integracji z Brukselą i wstąpienia do NATO; a rząd lewicowej koalicji uczynił wręcz dążenie do tego mariażu czymś na kształt *sacro-sanctum* swojej polityki zagranicznej!!! Również i społeczeństwo w tej sprawie zdaje się - jak wykazują badania OBOP-u - przemawiać jednym głosem (90% za integracją!).

Chwilami zaczynam podejrzewać, że przy okazji tej zadziwiającej, jak na Polskę, jednomyslności ujawniły się także inne, równie powszechnie znane, nasze narodowe cechy. Pierwszą z nich wymienił kiedyś Churchill, stwierdzając, że: "dobry Bóg dał Polakom wiele zalet, ale nawet za grosz nie dał im rozumu politycznego". Drugą jest typowe dla nas jednoczenie się... tylko w obliczu wielkiego narodowego nieszczęścia! Stąd też uważam za celowe zastanowić się nieco, jakie są obiektywne przesłanki tej jednomyslności. Tym bardziej, że jak arcysłusznie pisze B. Łagowski: "w Polsce już kilka katastrof dokonało się pod wpływem monoideowej opinii publicznej; a obecnie znów mamy okazję oglądać ten dziw społeczny. Dwa zwalczające się obozy polityczne głoszą to samo: oddanie się w opiekę Zachodowi jako aksjomat polityki zagranicznej".²

Aby jednak uprzedzić zarzut, że moja postawa jest przykładem polskiego pieniactwa w sprawach publicznych rodem z epoki liberum veto, spróbuję wykazać (na podstawie licznych argumentów), że z tą integracją nie jest wszystko takie proste. Że warto się w tej sprawie trochę rozejrzeć, tym bardziej, że najbardziej zachwalają jej zalety i pchają nas do niej ci, którzy ongiś z równym zapałem - powtórzę za poetą - zapowiadali, że "w socjalizmie skałeczony palec nie boli".³

Bo przecież mnożą się fakty wskazujące na to, że integracja różne przynosi owoce, a narody, które miała uszczęśliwić, zaczynają dawać coraz mocniej wyraz swojemu do niej rozczarowaniu. Stąd też:

- W Anglii, pomimo 97% wzrostu produktu narodowego brutto w latach 1961 - 1991, liczba ludzi żyjących w nędzy w tym samym okresie wzrosła z 5,3 do 11,4 mln osób.⁴ Niektórzy wiążą ten stan rzeczy z uczestnictwem w Unii, m.in. dlatego, jak donosił "Time" (12.06.96), powstaje *Referendum Party*, stawiająca sobie za cel mobilizowanie opinii publicznej na rzecz wystąpienia z Unii Europejskiej (projekt takiego referendum popiera już w parlamencie 78 posłów)...
- W Austrii, gdzie poparcie dla integracji przed wstąpieniem do Unii wynosiło 66%, obecnie spadło do poziomu już tylko 39%... Podobnie kształtują się te proporcje we Francji...⁵
- Norwegowie dwukrotnie odrzucili w powszechnych referendum już wynegocjowane przez rząd uczestnictwo w Unii.

- Duńczycy zaszokowali wszystkich odrzucając w 1992 r. w referendum Traktat z Maastricht.
- We Francji w ciągu ostatnich lat produkt narodowy brutto wzrósł o 80%, ale w tym samym czasie liczba bezrobotnych wzrosła z 420 tysięcy do 5,1 mln osób.⁶
- Grecy narzekają na coraz gorsze wyniki w dynamice eksportu, żłośliwie wytykając Brukseli, że nadwyżkę eksportu osiągnęli tylko w latach 1963 - 74, kiedy junta wojskowa zawiesiła umowę stowarzyszeniową z UE.
- Programy pomocy, na które poszły olbrzymie fundusze europejskie, "nie osiągnęły oczekiwanych skutków makroekonomicznych, najbardziej wspomagane przez Brukselę regiony nie rozwijają się; niekiedy nawet, jak Campania czy Sycylia, cofają się w rozwoju... wszędzie zaś długotrwałe bezrobocie zwiększyło się".⁷

Listę takich zarzutów i utyskiwań można by wydłużyć w nieskończoność! Jedno też jest pewne, że ich ogólna wymowa nie bardzo pozwala na wyrobienie sobie jednoznacznego przekonania w ważnej bądź co bądź kwestii, jaką jest ocena przyszłych skutków naszej integracji, do której zmierzamy z taką determinacją.

Chwilami można zacząć wręcz podejrzewać, że ocena tych skutków jest całkowicie zbędna, bo decyzja już praktycznie zapadła. A nie jest to wcale gołosłowne podejrzenie! Albowiem nie tylko w publicystyce, ale i w dokumentach panuje pełna aklamacja naszego związku z Unią. Jeżeli coś budzi wątpliwości, to jedynie zbyt wolne tempo całej operacji. Stąd też w wydanym przez Komitet Integracji Europejskiej dokumencie rządowym pt. "Narodowa strategia integracji", w pierwszym punkcie jego syntezy czytamy: "Członkostwo w UE jest strategicznym celem Polski... wyrazem dążenia przeważającej części społeczeństwa do obecności i uczestnictwa Polski w strukturach europejskich". Aliści, z typową dla nas postawą, że "jakoś tam będzie", dopiero w piątym punkcie zatroszczono się o "prace eksperckie dotyczące oszacowania kosztów i korzyści integracji", natomiast aż na dwudziestym pierwszym miejscu uplasowano punkt stwierdzający, że "wprawdzie przeważająca większość społeczeństwa wypowiada się za przystąpieniem do Unii, jednak stan wiedzy społeczeństwa o Unii jest niewystarczający".⁸ (to znaczy, że ich "za" jest bezmyślne. O, Panie - wybac im, bo nie wiedzą, co czynią!).

Jeszcze większych wątpliwości można nabrać wsłuchując się w wypowiedzi indywidualne wygłaszane "w tym temacie" przez najrozmaitsze osobistości na Zachodzie. Tutaj nasz statystyczny entuzjasta Unii (z "niewystarczającą wiedzą" - patrz wyżej!) może się już całkiem pogubić. Albowiem,

kiedy kanclerz Kohl i szefowie ziomkostw stale podkreślają, że Unia bez Polski to po prostu *horrendum und das grosse Skandal*, w tym samym czasie liczni Hiszpanie, Grecy, Francuzi i Szwedzi sygnalizują jednoznacznie zupełnie inne uczucia.

I tak na przykład, na konferencji Unii Europejskiej w Turynie (maj 1996 roku.) deputowana do parlamentu europejskiego Drude Dahlerup stwierdziła ni mniej, ni więcej, tylko to, że rozszerzenie Unii na Wschód jest "gigantycznym oszustwem, bo przecież tak naprawdę nikt tej wschodniej Europy w UE nie potrzebuje!" Tę lapidarną wypowiedź pani Dahlerup rozwinął jej uczony kolega prof. H. Age, odpowiadając na postawione samemu sobie pytania: "Do czego są nam potrzebne te kraje? Co mają one takiego, na czym moglibyśmy my tu w Unii skorzystać? Sądzę, że byłoby o wiele lepiej, gdyby ta Europa Wschodnia znalazła się gdzie indziej..." "Z kolei, bardziej dla nas łaskawi Europejczycy, jak np. francuski profesor G. Caire, widzą sens naszego uczestnictwa w Unii. Każą nam jednak płacić za ten zaszczyt... miejscami pracy, rozładowując ich stale rosnące bezrobocie! Takie koszty poniosły dla przykładu: Grecja (gdzie bezrobocie z 2,8% w 1980 r. skoczyło do 9,8% w 1993 r.) i Hiszpania (gdzie w tym samym okresie bezrobocie wzrosło z 11,5% do 22,7%)."⁹

Oczywiście, istnieją także bardziej konstruktywne propozycje sympatyzujących z nami Europejczyków. Przykładem nich będą C. Boallino i P. Padoan¹⁰, nawołujący nas do tego, abyśmy darowali sobie niepotrzebne ambicje naukowo - techniczne i skoncentrowali się po prostu na zaopatrywaniu Zachodu w energię, przejmując w ramach zdrowej specjalizacji to, co przy wytwarzaniu daje najbardziej niezdrowe efekty uboczne...!

W tej sytuacji przeciętny, a więc średnio zorientowany Polak może poczuć się nieco zagubiony. Wprawdzie - jak powiada B. Russell - "dominującym uczuciem naszych czasów jest uczucie bezsilnej dezorientacji" - to w tej akurat sprawie dezorientacji jest stanowczo za dużo. No bo o co tu właściwie chodzi? Z jednej strony słyszymy syrenie głosy niemieckich polityków, wabiących nas i deklarujących wszelką pomoc w jak najszybszym przeflancowaniu Polaków do *Nowej Europejskiej Ojczyzny*; z drugiej strony - ujawniają się grymasy, niechęć, a nawet protesty ze strony pozostałych naszych potencjalnych współobywateli. - Co jest grane? - może spytać nasz warszawski rodak, któremu nie wystarczy wyjaśnienie prof. Geremka, iż tak życzliwe promowanie Polaków do Unii w niemieckim wykonaniu "jest historycznym paradoksem".

Wychodząc naprzeciw takim pytaniom, spróbuję wykazać, że powyższa sytuacja nie jest żadnym paradoksem. A jej pozorne skomplikowanie bierze się po prostu stąd, że przy okazji naszych zabiegów o integrację weszły z sobą w konflikt dwie pazerności!

Pierwszą z nich jest konsumpcyjna pazerność poszczególnych państw - uczestników Unii, troszczących się li tylko o już osiągnięty poziom dobrobytu i zdecydowanie niechętnym takiemu rozszerzeniu Unii, które mogłoby poziom ten obniżyć. Znamienne w tej sprawie może być np. stwierdzenie francuskiego ekonomisty - noblisty M. Allaisa, że "w każdym przypadku niepoważne jest pomaganie państwom Europy Wschodniej poprzez import ich produkcji rolnej i pogłębianie w ten sposób naszego obecnego kryzysu rolnictwa".

Drugą jest (nieporównywalnie dla nas groźniejsza!) geopolityczna pazerność wpływowych kół niemieckich, zmierzających do tego - jak uważa Sir J. Goldsmith - aby "Unię Europejską przekształcić w odpowiednik Cesarstwa Niemieckiego, gdyż Kohl robi na skalę europejską to, co Bismarck robił na skalę Niemiec w XIX wieku"¹.

* * *

Panie Profesorze, czy nie są to zbyt kasandryczne wizje? Czy istotnie nas tam nie chcą? To zupełnie nowa teza, raczej nie spotykana w polskiej publicystyce...

- Ja nie snuję "kasandrycznych wizji". Po prostu próbuję analizować fakty, zjawiska i wyciągać z nich wnioski. Jestem gotów udowodnić, że stwierdzenie o konflikcie wymienionych wyżej pazerności odpowiada rzeczywistości.

W kołach brukselskich eurokratów dużą popularnością cieszy się np. tzw. rachunek Baldwina. Zawiera on ujęte w formie matematycznej niepokojące przesłanie do wszystkich uczestników Unii, zabiegających o utrzymanie uzyskanych już proporcji udziału w konsumowaniu rozmaitych funduszy Unii Europejskiej. Wyliczanka Baldwina jest bardzo prosta. Wykazuje on, że jeśli Unia będzie osiągała przyrosty dochodu na poziomie 2% rocznie, a Polska na poziomie 6%, to potrzeba będzie 22 lat, aby poziom dochodu na głowę ludności w Polsce osiągnął 75% dochodu na głowę mieszkańca Unii! Albowiem, wedle ustawodawstwa Unii dopiero powyżej tego poziomu dochodu państwo - uczestnik Unii traci automatycznie prawo do zasileń z pomocowych funduszy Unii. Nic więc dziwnego, że znakomita większość uczestników Unii bez entuzjazmu odnosi się do perspektywy powiększenia swego grona o członków, którzy przez 20 lat będą im wentylować kasę...! Co więcej, ci nowi członkowie, zgodnie z ustawodawstwem Unii, będą również mieli uprawnienia, aby forsować zmiany w ukształtowanych w przeszłości proporcjach podziału. A to już po prostu - zdaniem Baldwina - czysty horror, prowadzący do sytuacji, w której

“pasażerowie drugiej klasy decydowaliby o tym, co jedzą na kolację pasażerowie pierwszej klasy”¹².

Jestem pewien, że te przyczyny powodują, iż dzisiejsi “pasażerowie” Unii skłonni są opóźniać nasze “wejście na pokład”. Pouczający jest przykład Turcji, której przyjęcie do Unii obiecano już na początku lat 60., a dotychczas nie została przyjęta i wedle wszelkich znaków długo jeszcze przyjęta nie będzie. O Turków dobry wujek znad Renu nie zatroszczy się: Ankara leży za daleko od Niemiec. To nie to, co Posen czy Breslau!

W swojej nowej książce wymienia Pan także inne - jak Pan pisze - obiektywne przyczyny, dla których przyjęcie Polski do Unii jest nie na rękę “pasażerom pierwszej klasy”. Zalicza Pan do nich m.in. sytuację w rolnictwie Unii. To także jedna ze spraw mało znanych w kraju...

- Sytuacja w rolnictwie Unii jest pochodną ustaleń dokonywanych w ramach tzw. Wspólnej Polityki Rolnej (CAP). Polityka ta ma następujące cele: zwiększenie wydajności produkcji rolnej, podniesienie poziomu życia ludności rolniczej, stabilizację rynku żywności, bezpieczeństwo zaopatrzenia UE w żywność, zapewnienie niewygórowanych cen na żywność.

Według opinii ekspertów, zdołano jedynie ustabilizować rynek żywności i zapewnić bezpieczeństwo zaopatrzenia UE w żywność. Próby “zapewnienia niewygórowanych cen na żywność” zakończyły się katastrofalną klęską. Zamiast cen “niewygórowanych” obywatele Unii ciągle muszą płacić za żywność ceny dwukrotnie wyższe od cen światowych. Tymczasem niskowydajne rolnictwo polskie operuje na poziomie cen zbliżonych do światowych, podczas gdy bardziej wydajne rolnictwo Unii otrzymuje dodatkowe transfery i subsydia, podnoszące poziom jego cen dwukrotnie wyżej.

Wspólna Polityka Rolna Unii (CAP) realizowana jest dwoma nurtami. Pierwszy - to działania interwencyjne, mające na celu stabilizację produkcji rolnej oraz cen płodów rolnych. Podstawowym narzędziem tych działań są zakupy interwencyjne i wyprzedaż zapasów państwowych (w sytuacji nadwyżki popytu nad aktualną podażą). Drugi nurt - to kontrowersyjne społecznie działanie związane z materialnym zabezpieczeniem interesów rolników Wspólnoty. Głównie chodzi tu o podtrzymywanie cen na odpowiednio wysokim poziomie, aby w ten sposób zapewnić godziwe dochody rolnikom.

Dlaczego jest to konieczne? Otóż wydajność w rolnictwie europejskim rośnie znacznie wolniej, niż w przemyśle, a więc wolniej rosną też zarobki. Jeżeli więc Unia chce bazować na własnej produkcji rolnej, to musi coś zrobić, aby uzyskać niezbędną podaż płodów rolnych, ergo - zatrzymać wystarczającą ilość chłopów w roli producentów. Skoro zarobki nie mogą się brać z wydajności -

trzeba rolników subsydiować. Aby jednak na te subsydia starczyło pieniędzy w budżecie Unii, trzeba liczbę rolników stopniowo zmniejszać. W ten sposób powstało błędne koło wielorakich i wzajemnie sprzężonych zależności. Według oficjalnych danych aż 48% dochodu uzyskiwanego przez rolników Unii pochodzi ze sztucznie zawyżonych cen oraz dotacji. O te 48% dochodu toczą się dramatyczne boje na wszystkich szczeblach administracyjno - przedstawicielskiej struktury Unii.

W tych okolicznościach zgłoszenie przez Polaków akcesu do Unii jest przez jej rolników traktowane jako zagrożenie. Proponuję dokonać następującego rachunku: Po ewentualnym przyjęciu nas do Unii, w strukturze zawodowej ludności polscy chłopci stanowić będą aż 32% ogółu ludności zatrudnionej w rolnictwie. Natomiast na polskie grunta uprawne przypadnie ok. 22% areálu produkcyjnie wykorzystywanej ziemi w całej Unii. Wyobraźmy sobie, jakie uczucia musi budzić u tamtejszych podatników perspektywa dofinansowania do średniego poziomu osiągniętego w Unii owych 32% ze Wschodu! Oczywiście, jest to absolutnie niemożliwe. Raczej dążyć się będzie do tego, aby do Unii przeniknęło jak najmniej polskich płodów rolnych! Ale to, pozornie logiczne, rozwiązanie zawiera zasadniczą sprzeczność: jeżeli polskich chłopów będzie mało, to będzie oznaczało, że są oni wydajni i ich produkcja będzie konkurencyjna na rynku, co uderzy po kieszeni unijnych farmerów. Jeśli zaś polskich chłopów będzie wielu, to wprawdzie ich produkcja będzie droga i niekonkurencyjna, ale z racji ich ubóstwa trzeba będzie ich dofinansowywać zgodnie z zasadami CAP. A to znowu zmniejszy fundusze, z których dotychczas korzystali farmerzy, bądź trzeba będzie zwiększyć obciążenia podatników.

Najbardziej precyzyjnie wszystkie te wątpliwości podsumował wybitny specjalista brytyjski, M. Tracy, zatrudniony w Komisji Europejskiej: "Kraje Europy Środkowej i Wschodniej, które chcą stać się członkami Wspólnoty, muszą mieć świadomość, że rolnictwo może okazać się główną przeszkodą do członkostwa (...) Troskę krajów Wspólnoty budzą bowiem koszty programów wspierających rolnictwo i dodatkowa konkurencja dla ich własnych producentów"¹³.

Zwracam uwagę Czytelnika, że żaden z tych dylematów nie jest w Polsce powszechnie znany, nie mówiąc już o publicznych dyskusjach. Jak to wytłumaczyć? Na co liczymy, dążąc do przyspieszenia procesów integracyjnych?

Dlaczego jednak Niemcy tak demonstracyjnie niemal, w każdym razie entuzjastycznie popierają nasze starania o przyjęcie do Unii? Skąd bierze się ów "historyczny paradoks"?

- To nie "historyczny paradoks" - to zimny rachunek zawsze konsekwentnych Niemców. Znany publicysta niemiecki, R. Hilf, napisał rok temu: "Nic nie zdoła powstrzymać stawania się Niemiec najsilniejszym mocarstwem europejskim, któremu Stany Zjednoczone przypisały wiodącą rolę w Europie"¹⁴. Historyczna ciągłość polityki niemieckiej wyraża się w nieustannie podejmowanych próbach stania się hegemonem Europy i prowadzonej permanentnie ekspansji na Wschód. Tylko że sławne Drang nach Osten zostało dzisiaj zastąpione hasłem "rewizjonizmu dla wolności", celem naprawy "pomyłki z Poczdamu". Albowiem formy realizacji tej polityki również zmieniają się zgodnie ze znaną zasadą teorii systemów, że problemy się nie starzeją - starzeją się tylko formy ich rozwiązywania! Takim właśnie "niestarzejącym się" problemem niemieckim jest potrzeba dominacji nad otoczeniem, jeśli tylko zaistnieją materialne przesłanki rokujące szansę na jej uzyskanie.

W przeszłości rozwiązywano ten problem w drodze wojen i podbojów. Rozwój techniki doprowadził do tego, że taka metoda już się zdezaktualizowała, grozi samounicestwieniem wszystkich uczestników ewentualnego konfliktu. Wykoncypowano więc nowe rozwiązania. "Nie ulega wątpliwości - pisze znany politolog brytyjski, T. G. Ash - że w procesie zjednoczenia interesy różnych europejskich państw i narodów nie zostały uwzględnione w jednym stopniu. Była to Real Politik w wysoce cywilizowanym wydaniu, w której ogień i miecz zastąpił telefon i książeczka czekowa"¹⁵.

Ograniczone ramy tej rozmowy nie pozwalają mi na rozwinięcie tematu. Uczyniłem to we wspomnianej pracy, przypominając, że wszystkie stare i nowe doświadczenia wskazują na to, iż Niemcy nie rezygnują z roli hegemonu, z prowadzenia wielkiej gry w wymiarze geopolityki. Wabienie nas do Unii jest częścią tej gry.

Kohl w oświadczeniu, wygłoszonym w Bundestagu z okazji zakończenia negocjacji w Maastricht, oświadczył: "Zauważmy, że Traktat o unii ekonomicznej i walutowej, zawarty po długich i intensywnych rokowaniach, zawiera we wszystkich decydujących punktach naszą niemiecką pieczęć!"¹⁶

Można różnie oceniać ten triumfalizm Kohla, ale nie ulega wątpliwości, że Niemcy są zainteresowane rozszerzeniem Unii, przesunięciem jej granic z Odry na Bug, bo to umacnia ich wpływy. M. Thatcher pisała: "Zjednoczone Niemcy są zbyt duże i potężne, ażeby stać się tylko jednym z wielu graczy w Europie. Poza tym Niemcy zawsze spoglądały zarówno na Wschód, jak i na Zachód, choć współczesną manifestacją tej tendencji jest raczej ekspansja gospodarcza niż agresja terytorialna"¹⁷.

“Bilans” tego, co dotychczas powiedzieliśmy, jest daleki od euforii, prezentowanej w oficjalnych komentarzach. Jedni nas nie chcą, bo się boją, inni - jak Niemcy - są orędownikami naszych starań o przyjęcie do Unii, bo rozszerzy to ich wpływy na Europę Wschodnią. Założmy, że minął okres przygotowawczy i Polska znalazła się w Unii. Co będzie się działo w polskiej gospodarce?

- Prognozy mogą być bardzo różne. W podręcznikach ekonomii znaleźć można opisy zjawiska sygnowanego jako “choroba holenderska”. Do Holandii, po odkryciu tam gazu ziemnego, nastąpił znaczny napływ dewiz, co w rezultacie “zaowocowało” znacznym pogorszeniem bilansu handlowego, i w konsekwencji obniżeniem tempa wzrostu gospodarczego. Symptomy tej choroby wystąpiły również na Węgrzech w latach 1990 - 1994, czyli wtedy gdy wszystkie b. kraje socjalistyczne zazdrościły Budapesztowi sukcesów w przyciąganiu kapitału zagranicznego. Te “sukcesy” doprowadziły do takiej aprecjacji wartości forinta, że fantastycznie wzrósł węgierski import, a eksport został zdziesiątkowany. Podobna sytuacja wystąpiła w Meksyku w 1995 r. Wyjątkowo gwałtownie ujawniły się skutki “choroby holenderskiej” we wschodnich landach Niemiec, kiedy po upadku NRD miały tam miejsce gigantyczne transfery z Zachodu (100 mld USD rocznie). Produkcja w tych latach spadła o 50%. Tę spadkową tendencję zdołano jednak zahamować i odwrócić już w 1992 r., bowiem rząd federalny ciągle transferując środki na potrzeby konsumpcji zdołał nakłonić Zachód do sfinansowania 33% ogółu nakładów inwestycyjnych w landach wschodnich. W ten sposób znalazły się pieniądze zarówno na konsumpcję, jak i na inwestycje. Doprowadziło to jednak do wzrostu stóp procentowych i aprecjacji marki, co z kolei wywołało kryzys walutowy w Europejskim Systemie Walutowym (EMS). W rezultacie za zjednoczenie Niemiec zapłaciła cała Europa!¹⁸

Jaki jest związek między tymi zjawiskami, a skutkami przyjęcia Polski do Unii? Czy Polsce grozi “choroba holenderska”?

- Poświęciłem tyle miejsca tym zjawiskom (w książce opisuję je szczegółowiej), ponieważ również w Polsce w przypadku wstąpienia do Unii może dojść do poważnej aprecjacji złotówki, co spowoduje, podobnie jak w opisanych przypadkach, wystąpienie objawów owej “holenderskiej choroby” ze wszystkimi jej złowrogimi dla gospodarki następstwami. Dlaczego nasi eksperci rządowi nie przygotowują odpowiednich scenariuszy działań zapobiegawczych na taką okoliczność? Pragnę zwrócić uwagę, że już dziś symptomy tej “choroby” dają się zauważyć: rośnie ujemne saldo handlu

zagranicznego (szybkie tempo wzrostu importu, malejące tempo wzrostu eksportu).

Chcę też zasygnalizować, że w naszych dotychczasowych kontaktach kapitałowych z partnerami z Zachodu, nie stosujemy żadnej spójnej strategii, w której suwerenne państwo wykorzystuje swoje formalno - prawne prerogatywy. A przecież po przystąpieniu do Unii z większości tych prerogatyw suwerenności gospodarczej będziemy musieli zrezygnować. Skoro więc na razie jeszcze je posiadamy, wykorzystajmy to dla podejmowania strategicznych działań stwarzających nam jak najlepsze warunki na okoliczność przyszłego członkostwa w UE. Jeżeli sami nie potrafimy się zdobyć na żadne oryginalne pomysły, to uczmy się przynajmniej od innych. Chińczycy zaprosili obcych do eksploatacji kopalń złota, ale tylko do takich złóż, gdzie zawartość złota nie przekracza określonej przez chińskie władze wielkości. My zaś prywatyzację rozpoczęliśmy od najlepszych zakładów... Dla ilustracji - jeden z wielu przykładów. Kiedy polska fabryka wyrobów aluminiowych w Kętach wchodzi ze swymi akcjami na giełdę, rząd sprzedaje zagranicznemu inwestorowi fabrykę w Chrzanowie, która będzie produkować takie same wyroby. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby przewidzieć jak łatwo ten zagraniczny inwestor zasobny w kapitał będzie mógł wykupić akcje polskich zakładów i stać się monopolistą na naszym rynku aluminium.

Dlatego - moim zdaniem - sprawą kluczową na dziś jest umiejętne wygrywanie szans i minimalizowanie zagrożeń, jakie przynieść może właściwe otwieranie gospodarki na kapitał międzynarodowy.

Truizmem na granicy banału jest stwierdzenie, że napływ obcego kapitału jest dla gospodarki narodowej błogosławieństwem. Ale równie banalną prawdą jest konstatacja, że napływ obcego kapitału może być pocałunkiem śmierci! Z obcym kapitałem jest tak, jak z samochodem. Wszystko jest wspaniałe dopóki jest on pod naszą kontrolą. W przeciwnym przypadku grozi katastrofa. Dlatego rządy wszystkich krajów dokonują cudów przemysłowości, aby tę dialektyczną sprzeczność rozwiązać. Trzeba przyciągać obcy kapitał, ale tak by mieć na niego wpływ prawie taki jak na własny. Czyli mieć z niego jakieś profity i kierować go tam, gdzie będzie on dla danej gospodarki najbardziej pożyteczny...

Nasze dotychczasowe doświadczenia z obcym kapitałem są złe. Wiadomo np., że bardzo ważną jest struktura zagranicznego kapitału. Duży napływ towarów zagranicznych, nie kontrolowany odpowiednio wielkim eksportem oznacza import bezrobocia. Polski import z krajów Unii wzrósł w latach 1989 - 1996 sześciokrotnie. Aliści - jak wykazał M. Kabaj - zapłaciliśmy za to utratą około miliona miejsc pracy.¹⁹ Co będzie, jeśli w strukturze naszego

importu będą dominować towary o wysokim poziomie techniki, takich jak elektronika, maszyny precyzyjne itp.? Taki import może likwidować miejsca pracy naszej najbardziej wykwalifikowanej kadry... Przypomnę, że w ostatnich latach przestały istnieć: Naukowo - Produkcyjne Centrum Półprzewodników CEMI (7 tys. zatrudnionych), Zakłady Radiowe im. Kasprzaka, Łódzkie Zakłady "Fonica", Zakłady Podzespołów Elektronicznych "Telepod" w Krakowie, Fabryka Magnetofonów w Lubartowie, Zakłady Lampowe im. Róży Luksemburg i wiele innych.

Czy jest Pan przeciwnikiem Integracji? Czy obecne procesy w Europie mają alternatywę?

- Wiem, że mogę jawić się Czytelnikowi jako nieprzejednany wróg wszelkiej integracji, dodatkowo skażony antyniemiecką fobią. Tak nie jest. Nie uważam, że integracja jest czymś złym z definicji. Uważam natomiast, że przejawem imbecylności i czymś złym z definicji jest hurra - optymistyczne podejście do całej tej sprawy, a postrzeganie problemu jedynie w zbyt powolnym tempie samej operacji. Zachowanie się większości naszych publicystów w tej kwestii przypomina postawę aborygenów, którzy zobaczywszy na horyzoncie żagiel "wielkiej łodzi białych ludzi" skaczą w płaschach radosnej niecierpliwości na myśl o wodzie ognistej i szklanych paciorkach, zwiastowanych przez ten żagiel... Takiej manierze ulegają również niektórzy naukowcy.

Wychodzę z założenia, że procesy integracyjne są i będą obiektywną prawidłowością, a poprzez uczestnictwo w takich procesach można nie tylko mniej lub więcej wygrać w cywilizacyjno - gospodarczym awansie, ale również można mocno stracić. Stąd mój postulat "szczególnej ostrożności" w akceptowaniu czegokolwiek, co nam do wierzenia podają. Bo w integracji idzie przede wszystkim o bardzo duże interesy, nie tylko gospodarcze. Zaufanie nie wystarcza. Potrzebna jest pewność...

Ten postulat, to chyba zbyt wątpliwa konkluzja dla zakończenia naszej rozmowy?

- A czego się Pan ode mnie spodziewał? Niech się Pan rozejrzy wokoło i popatrzy, jakie nastąpiło - mówiąc językiem sienkiewiczowskiego Podbiipęty - "przedziwne materii pomieszanie..." Jakże bowiem mogą być konkluzje, gdy we wspólnym obozie "przyśpieszaczy" integracji spotkali się Najder, Kwaśniewski i Wałęsa, a okopy św. Trójcy "opóźniaczy" zaludniają M. Dobrosielski i W. Pawlak i... ojciec Rydzyk!

Cóż można powiedzieć Czytelnikom, kiedy Urban, podpierając się wypowiedziami papieża o nieuchronności integracji Europy, strofuje opornych

temu związkowi, a Kissinger doprowadza do rozpaczny naszych entuzjastów NATO stwierdzając melancholijnie, że po Helsinkach "Rosja wydaje się uzyskiwać współuczestnictwo w NATO przed nowymi kandydatami".²⁰

W takiej sytuacji skromny profesor może jedynie zacytować Pismo, stwierdzając: "za duży wiatr na moją wełnę!"... i apelować o ostrożność we wszelkich konkluzjach.

Rozmawiał: Jerzy Kraszewski

Przypisy

- 1 L. Sterne, Tristan Shandy, Warszawa 1995, s. 410.
- 2 B. Łagowski, *Szkice antyspołeczne*, Kraków 1997, s. 12.
- 3 Patrz: A. Ważyk, *Poemat dla dorosłych*.
- 4 J. Goldsmith, *Pielapka*, Warszawa 1995, s. 9.
- 5 Sondaż Gallupa - "Le Figaro" z 18.05.1995 r.
- 6 J. Goldsmith, *Op. cit.*, s. 8.
- 7 Cytuję za F. d'Aubert w *Main basse sur l'Europe* ("Rozkradana Europa"), Ed. PLON 1994, s. 171.
- 8 *Narodowa Strategia Integracji*, Warszawa styczeń 1997, s. 49.
- 9 W. Orlowski, *Wejście do UE a wzrost gospodarczy i tłumienie bezrobocia*, Wydawnictwo GUS, Warszawa 1996, s. 4.
- 10 C. Boallino, P. Padoan, *Growth and Specialization...*, "Rivista di Politica Economica", nr 82, Dec. 1992.
- 11 "The Time", 12.06.1996 r.
- 12 R.E. Baldwin, *Towards an Integrated Europe*, CEPR, London 1994
- 13 M. Tracy, *Polityka rolno-żywnościowa w gospodarce rynkowej*, Wyd. Olympos 1996, s. 298
- 14 R. Hilf, *Die neue Gesellschaft Frankfurter Hefte*, 1996, s. 208.
- 15 T.G. Ash, *W imieniu Europy*, Wyd. ANEKS, Warszawa 1996, s. 248
- 16 Stenogram prasowy Bundestagu 13.12.1992
- 17 M. Thatcher, *The Downing Street Years*, London 1993, s. 791
- 18 L. Brittan, *Europe we need*, London 1994
- 19 Biuro Ekspertyz Sejmu RP, listopad 1996, s. 3.
- 20 H. Kissinger, *Fiasko Helsinek*, wg "Rzeczpospolitej" z 01.04.1997

Ryszard Nazarewicz

Wokół kwestii wojny domowej

Jest faktem bezspornym, że odrodzenie państwa polskiego po ponad 5 letniej okupacji hitlerowskiej nastąpiło w ciężkich bólach porodowych. Towarzyszyły temu krwawe walki wewnętrzne, które spowodowały śmierć i tragedię kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Rozmiary tej tragedii nie miały wówczas odpowiednika w żadnym innym kraju europejskim, poza Grecją i Jugosławią. Walka toczyła się przede wszystkim pomiędzy Polakami przeciwnych orientacji politycznych, pomiędzy tymi, którzy stali za polskim rządem rezydującym w Londynie, a tymi którzy popierali władze utworzone przez KRN, PKWN i kolejne rządy Rzeczypospolitej Polskiej, od 1952 r. zwanej Polską Rzeczypospolitą Ludową.

Walki te często traktuje się jako wojnę domową, dodając do tego niekiedy określenia mające podkreślić jej specyfikę polską, taką jak: elementy wojny domowej, ograniczona wojna domowa, walki mające cechy wojny domowej itp. Używanie takich pojęć, lub odrzucanie ich, było w zasadzie funkcją aktualnej sytuacji politycznej oraz poglądów ideowo-politycznych stosujących je historyków, publicystów, polityków.

Prehistoria wojny domowej w Polsce

Przypomnijmy jednak - w ogólnym zarysie - sytuację polityczno-społeczną w latach poprzedzających okres polskiej wojny domowej. W życiu podziemnym Polski, podbitej w 1939 r. i okupowanej przez Rzeszę Niemiecką, dominowały w pierwszych dwóch latach ugrupowania centroprawicowe podległe rządowi na obczyźnie, zaś jego organizacji wojskowej ZWZ i AK - kadry proveniencji przeważnie sanacyjnej. Partie lewicowe przeżywały kryzys: PPS

w wyniku samorozwiązania i rozbicia oraz aresztowań jej przywódców, zaś komuniści polscy wskutek wymordowania przez NKWD czołowych kadr ich partii i kilkunastu tysięcy jej członków szukających azylu w ZSRR. Wbrew zakazowi Międzynarodówki, komuniści utworzyli samorzutnie szereg antyfaszystowskich organizacji podziemnych, które w początkach 1942 r. mogły zjednoczyć się w PPR. Proces jednoczenia się wystąpił też w ruchu socjalistycznym w postaci ukształtowania się dwóch partii: prawicowej WRN i lewicowej RPPS.

Pojawienie się w polskim podziemiu antyhitlerowskim PPR i jej organizacji wojskowej - Gwardii Ludowej - zaskoczyło obóz rządowy, korzystający dotąd z monopolu polityczno-organizacyjnego na działalność niepodległościową. Rozwinięto wówczas intensywną akcję propagandową, a także wywiadowczą, zmierzającą do penetracji szeregów lewicy. Już 16 maja 1942 r. dowódca AK gen. Rowecki powołał w tym celu komórkę "K", w związku *"ze wzmożoną propagandą komunistyczną i prosowiecką w kraju"*¹ Akcję tę prowadziło równolegle kilka aparatów wywiadowczych, m.in. w Komendzie Głównej AK i Delegaturze Rządu w Londynie, z ich strukturami terenowymi, w finansowanej przez Delegaturę Agencji Antykomunistycznej (Antyk), a także w organizacjach skrajnej prawicy z utworzonymi we wrześniu 1942 r. Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Wszystkie te wywiady usiłowały dotrzeć poprzez swoich agentów do ośrodków kierowniczych organizacji lewicowych, zwłaszcza PPR i GL, spenetrować ich szeregi, sporządzić spisy lub kartoteki ich członków.

Rząd polski w Londynie był wówczas sojusznikiem ZSRR, zaś PPR popierając ten sojusz, dostrzegała w ZSRR jedyną siłę zdolną oprzeć się armii niemieckiej i - w perspektywie - wyzwolić Polskę. Jednakże określono PPR jako "obcą agenturę", a podjęcie przez Gwardię Ludową działań partyzanckich i dywersji antyhitlerowskiej, oceniono jako "sowiecką dywersję antypolską", której celem rzekomo miało być sprowokowanie represji okupantów celem wyniszczenia narodu polskiego.

Już 27 czerwca 1942 r. gen. Rowecki informował Londyn, iż akcja zbrojna "dywersantów" (jak zwykł określać GL) coraz bardziej zdobywa sobie grunt, budzi ludność z paroletniego biernego wyczekiwania i ulegania przemocy okupantów. Napływające z kraju alarmistyczne informacje o narastającym "czerwonym niebezpieczeństwie", wpłynęły na wydanie przez gen. Sikorskiego dyspozycji, aby *"akcję komunistyczną (...) zwalczać bezwzględnie i wszelkimi środkami."*² Na razie jednak główną płaszczyzną walki z lewicą pozostawała akcja propagandowa i wywiadowcza, zaś ewentualne przejście do zbrojnych form walki pozostawało w sferze przygotowań. Jednoznacznie perspektywę taką

kreśliła instrukcja komendanta głównego oenerowskiej Organizacji Wojskowej Związku Jaszczurczego (od września 1942 r. współtworzącej NSZ), która naka-
zywała: *“zdobyć dane i stale je aktualizować odnośnie do wszystkich działa-
czy komunistycznych, anarchistycznych i wrogich mniejszości narodowych, a
w momencie przewrotu lub na krótko przed tym, zależnie od rozkazów zlikwi-
dować wyżej wymienionych.”*³ W jednym z pierwszych rozkazów⁴ dowódca
NSZ Ignacy Oziewicz - “Czesław” zalecił wszystkim ogniwom NSZ traktować
PPR jako wroga, a z jej członkami *“przeprowadzać walkę w ramach obecnych
możliwości”*, zaś w grudniu 1942 wydał rozkaz o podjęciu Akcji Specjalnej nr1
w celu *“oczyszczenia terenu z band wywrotowych i przestępczych, z wrogich
nam formacji mniejszościowych”*.⁵

Działania te nie pozostawały tajemnicą dla kontrwywiadu GL. Posta-
nowiono poinformować o tym opinię publiczną. 15 października 1942 r. organ
KC PPR “Trybuna Wolności” wskazał na nawoływanie do zbrojnej rozprawy
z lewicą, stwierdzając iż *“reakcja (...) przygotowuje u nas wojnę domową.”*⁶
Pojawiło się więc określenie *“wojny domowej”*, jako niebezpieczeństwa grożą-
cego narodowi polskiemu jeszcze znajdującemu się pod panowaniem niemiec-
kim.

Także w sporządzaniu spisów członków PPR, RPPS, GL i innych
podejrzanych o “działalność wywrotową” przez aparat wywiadowczy NSZ,
a także AK i Delegatury (jedna z instrukcji wywiadu AK z grudnia 1942 r. naka-
zywała *“traktowanie PPR na równi z nieprzyjacielem.”*)⁷, władze PPR do-
strzegały niebezpieczeństwo zbrojnego rozprawienia się z ruchem lewicowym
i w *“Liście otwartym do Delegatury rządu gen. Sikorskiego”* z stycznia 1943r.⁸
uznały to za przygotowania do *“wszczęcia wojny domowej.”* Poruszono tę spr-
awę w rozmowach z przedstawicielami Delegatury i KG AK w lutym 1943 r.
i przedstawiono dowody na to. Odpowiedź była przecząca tym faktom.

Mimo tego PPR i GL wciąż zmierzały do zjednoczenia wszystkich sił
niepodległościowych w walce z okupantem i w imię tego skłonne były do
ustępstw. Wyrazem tego była ich inicjatywa podjęcia rozmów z Delegaturą i KG
AK, zakończona jednak niepowodzeniem. Zaostrenie konfliktu politycznego
z ZSRR na tle granicy wschodniej, odkrycie zbrodni katyńskiej i przerwanie
stosunków dyplomatycznych między ZSRR i rządem emigracyjnym, wpłynę-
ło na zaostrenie zwalczania PPR i GL przez obóz rządowy i prawicę pozarzą-
dową. Ważnym czynnikiem, jaki jednocześnie wpływał na wzrost poparcia
społecznego dla lewicy i liczebności GL, było stalingradzkie zwycięstwo Armii
Czerwonej i stopniowe zbliżanie się jej do Polski.

W tej sytuacji w niektórych kręgach prawicy doszła do głosu koncep-
cja zbrojnego zdławienia lewicy jeszcze w czasie okupacji, zanim urośnie ona

w siłę nie do pokonania, a zarazem odstraszenia od niej ludzi skłaniających się ku jej poparciu. W prasie prawicowej pojawiły się otwarte wezwania w tym kierunku. Np. organ Obozu Polski Walczącej "Państwo Polskie", już 23 kwietnia 1943 r. wzywał aparat AK i Delegatury do zastosowania "surowych represji" wobec członków PPR i ludzi z nią współdziałających, jako winnych *"takiej samej zbrodni jak współpraca z gestapo"*. Podobne wezwania głosiła prasa Konwentu Organizacji Niepodległościowych. "Reforma" - pismo porządkowego Stronnictwa Pracy, wzywała 10 maja 1943 r.: *"Musimy wyrwać z korzeniami flance czerwonej dyktatury z fabryk, przedmieść i biur"*, domagając się karania współpracy z PPR jak za współpracę z gestapo. Wydawnictwa Agencji Antykomunistycznej nawoływały do zniszczenia "komuny" oraz *"sowieckich oddziałów zbrojnych, ekspozytur, agentów i (...) likwidowania sowieckich spadochroniarzy."*⁹

Otwarte wezwania do mordowania przeciwników politycznych głosiła prasa NSZ. *"Czas ocknąć się i przystąpić do systematycznej likwidacji ośrodków dyspozycyjnych komuny (...) PPR, Gwardia Ludowa i różni czerwoni partyzanci muszą zniknąć z powierzchni polskiej ziemi."*¹⁰ *"Koniecznością dnia dzisiejszego jest oczyszczenie terenu Polski ze stanowiących drugą okupację partyzanckich oddziałów i band komunistycznych terroryzujących nasz kraj"* pisano w organie NSZ-towskiej secesji Stronnictwa Narodowego.¹¹

Już wcześniej jednak przystąpiono do czynnego działania. 7 stycznia 1943 r. w Przysusze bojówka NSZ zamordowała dwóch członków Komitetu Okręgowego PPR i kilku miejscowych Żydów. Początkowo likwidowano ludzi w sposób skrytobójczy, następnie zaś całe oddziały partyzanckie GL: w Stefanowie (22 lipca 1943 r.) i pod Borowem (9 sierpnia). Równoległą akcję podjęły elementy skrajnie prawicowe, jakie w wyniku akcji scaleniowej znalazły się w AK. W nocy z 1 na 2 czerwca 1943 r. wymordowano całą pięcioosobową komórkę w Mogielnicy, nieco później organizatorów PPR w Siedleckim, Opatowskim, Iłżeckim.

Swoimi wyczynami władze NSZ chętnie się. O morderstwie pod Borowem pisano: *"W ramach ogólnej akcji przeciwko bolszewickim oddziałom partyzanckim, działającym jako drugi okupant na polskiej ziemi, oddziały leśne NSZ rozbiły i zniszczyły doszczętnie koło m. Borów w woj. lubelskim oddział bolszewicko-komunistyczny. Na polu walki padło 32 zabitych bolszewików."*¹² W istocie wśród 26 zamordowanych byli wyłącznie polscy chłopcy oraz jeden zbiegły z getta Żyd. Jedyne jeniec Rosjanin zbiegły z niewoli niemieckiej zdołał uciec śmierci. Nie było też "pola walki", gdyż NSZ-towcy podali się za oddział AK i podstępnie rozbroili oddział.

Wyliczanie wszystkich popełnionych zbrodni zajęło by tu zbyt wiele miejsca. Sporo na ten temat już napisano, m.in. pisałem o tym w 1979 r.¹³ Tu zaś przytoczę tylko wyniki moich obliczeń, wciąż jednak opartych na niepełnych danych. Wskazują one, że w okresie od wiosny 1943 r. do końca 1944 r. ofiarą mordów bratobójczych padło 776 ludzi, w tym 382 żołnierzy GL i AL, 150 działaczy PPR, 51 ludowców, 40 socjalistów. Spośród nich 475 zginęło z rąk NSZ, pozostali z rąk innych bojówek i oddziałów prawicowych.

Analiza znanych faktów zbrodni popełnionych na ludziach lewicy przez bojówki prawicowe jeszcze w warunkach okupacji hitlerowskiej, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że to skrajne elementy prawicy pierwsze wniosły do polskiego życia politycznego metodę fizycznego eliminowania przeciwników politycznych, metodę masowych morderstw.

Podstawę dla tych działań stanowiły zarówno dyrektywy władz NSZ, jak i przywódców podziemia prorządowego. Delegat rządu inż. Stanisław Janowski meldował 31 lipca 1943 r. premierowi Mikołajczykowi, iż polecił "rozbić bandy dywersantów bolszewickich."¹⁴ Nowy dowódca AK gen. Komorowski 21 sierpnia tego roku meldował Wodzowi Naczelnemu gen. Sosnkowskiemu, iż rozkazał "występować zbrojnie przeciwko elementom płądrującym bądź wywrotowo bandyckim"¹⁵. Komendant okręgu białostockiego Władysław Liniarski - "Mścislaw" jeszcze 30 lipca 1943 r. nakazał "likwidować z całą bezwzględnością komunistów i bandy komunistyczno-żydowskie"¹⁶ i meldował o licznych faktach wykonania tego rozkazu. Podobne meldunki składali komendanci okręgów lubelskiego i radomskiego.

Treść wcześniejszych dyrektyw powtórzył dowódca AK w formalnym tajnym rozkazie nr 116 z 15 września 1943 "o walce z bandytyzmem", w którym nakazał wystąpić przeciwko elementom "wywrotowo-bandyckim" i likwidować ich "przywódców i agitatorów"¹⁷ Intencje tego rozkazu były przejrzyste. Już po miesiącu rozkaz ten zdobył wywiad GL i 15 października opublikowano go w prasie podziemnej. Uznano wówczas "ponad wszelką wątpliwość, że z dowództwa AK wyszły rozkazy i instrukcje dające hasła wojny domowej". Jeszcze wcześniej, we wrześniu 1943 r. KC PPR wydał "Oświadczenie w sprawie mordów politycznych i rozpalania wojny domowej", w którym zaapelował "do sumienia wszystkich uczciwych działaczy polskich ugrupowań politycznych" o "potępienie tych kół, które dążą do rozpalania i podsycania wojny domowej."¹⁸ Podobnie postąpił III Zjazd RPPS, uchwalając rezolucję "przeciw morderstwu politycznym", w której potępiono próby "wywołania wojny domowej."¹⁹

Opublikowanie rozkazu nr 116 wywołało konsternację i głosy krytyki nawet w części obozu rządowego, zwłaszcza wśród ludowców i socjalistów, a także w prasie brytyjskiej i radzieckiej. Przyczyniło się to do pewnej zmiany

tonu prasy obozu rządowego i znalazło wyraz w "Oświadczeniu" dowódcy AK z 18 listopada 1943 r., gdzie potępił "ohydny mord" NSZ pod Borowem. W rozkazach do "Burzy" wydanych 20 listopada,²⁰ dowódca AK nakazał: *"znajdującym się na ziemiach naszych sowieckim oddziałom partyzanckim nie należy w żadnym wypadku utrudniać prowadzenia walki z Niemcami. Unikać obecnie zatargów z oddziałami sowieckimi"* (to nazewnictwo odnosiło się także do oddziałów GL). Rozkaz ten nie znalazł odbicia na terenach kresowych, zwłaszcza w Nowogródczyźnie, gdzie trwał ostry, krwawy konflikt pomiędzy AK i partyzantką radziecką, u którego podłoża leżała kwestia przynależności państwowej tych ziem. Ideę rozkazu nr 116 faktycznie odrzuciła jednak większość ogniw Armii Krajowej, gdyż był on wykonywany faktycznie tylko w kilkunastu powiatach okręgów lubelskiego, białostockiego i kielecko-radomskiego, o czym świadczyły ich meldunki.

W Polsce okupowanej przez Rzeszę Niemiecką nie doszło więc do wojny domowej. Strona atakowana i zabijana, tj. lewica polska, wojny takiej nie chciała i podległym jej siłom zbrojnym (GL, AL) działań odwetowych zabraniała. *"Na wojnę domową nie pójdziemy, dlatego, że dla nas, dla narodu polskiego najważniejszą i jedyną wojną jest wojna z okupantem"*²¹

Rozkaz nr 9 Dowództwa Głównego GL w sprawie mordu pod Borowem podkreślał: *"Broń swą nadal tylko przeciwko Niemcom kierować będziemy"*²². Oddziałom i ogniom terenowym GL nakazywano zaostrożenie czujności, aby nie dać się sprowokować do akcji odwetowych, nakazywano unikać walk, chyba w ostateczności, w obronie. Tak było wiosną 1944 r., gdy nastąpiła nowa fala agresji przeciwko AL i PPR, zwłaszcza w okręgach radomskim i lubelskim. Wtedy to pod Teofilowem na Kielecczyźnie 1 kwietnia 1944 r. i w lipcu pod Skrobaczowem w Stopnickiem, a na Lubelszczyźnie pod Marynopolą - oddziały AL skutecznie obroniły się przed napaścią oddziałów NSZ.

Przyhamowało to w pewnym stopniu ich niszczycielski impet, choć fala morderstw znów nasiliła się po powstaniu "Brygady Świętokrzyskiej" NSZ. Wciąż jednak władze GL i AL sprzeciwiały się, choć, wobec wielkiego oburzenia i rozgoryczenia ludzi w terenie, nie zawsze skutecznie wszelkim działaniom odwetowym, podkreślając: *"Odwet również prowadzi do wojny domowej, my zaś jej nie chcemy."*²³

Przygotowania do wojny domowej

W okupowanej Polsce do wojny domowej nie doszło także wobec dominującego w społeczeństwie polskim przekonania, iż walki między Polaka-

mi mogą przynieść korzyść tylko okupantom niemieckim. Tym niemniej jeszcze w okresie okupacji hitlerowskiej obóz rządowy przygotowywał się do takiej wojny w momencie wyzwania Polski, decydującym o kwestii **władzy**. Tego rodzaju plan przedstawił gen. Bór w depeszy do Londynu w dniu 13 października 1943 r. i przedstawił go na posiedzeniu Krajowej Reprezentacji Politycznej w dniu następnym. Przewidywał: *“niebezpieczeństwo wojny domowej zaraz po klęsce niemieckiej”*, a przeciwnikiem w tej wojnie miały być PPR, GL i partyzanci radzieccy, zaś ich łączne siły określił przesadnie na 100 tysięcy ludzi. W związku z tym domagał się zwiększenia dostaw broni z Wielkiej Brytanii, a także wprowadzenia do Polski *“w momencie krytycznym”* nie tylko wojsk polskich z Zachodu, lecz także *“kilku wielkich jednostek anglosaskich”*²⁴. Jednocześnie gen. Komorowski brał pod uwagę ewentualność konfliktu zbrojnego podległych mu sił z Armią Czerwoną. Na tymże posiedzeniu 14 października 1943 r. stwierdził: *“(...) Musimy być przygotowani na stawienie zbrojnego oporu rosyjskiemu wkraczającemu do Polski. Oczywiście nie liczymy na wojskowe powodzenie tego działania, jeśli nie zajdą zasadnicze zmiany w wartości rosyjskiego potencjału wojennego. Sens i ewentualna siła wojskowego oporu przeciw Rosji leżą niemal wyłącznie w sferze polityki. Jego wartość należy oceniać przede wszystkim jako zbrojną demonstrację konieczną dlatego, aby zadokumentować światu polski protest przeciw najazdowi i niezłomną wolę utrzymania swej pełnej niepodległości.*²⁵

Jak z tego widać, dowódca AK uznał za najazd walkę w celu wypędzenia Niemców z okupowanej Polski. Przewidywania te, zapowiadające w istocie wojnę polsko-radziecką, miały już wtedy swoją prehistorię, m.in. w postaci zastrzegających się konfliktów pomiędzy partyzantką AK i partyzantką radziecką na ziemiach kresowych, zwłaszcza na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie, gdzie obie strony uważały się za gospodarzy tych ziem, zaś działania drugiej strony i jej rekwizycje żywności za bezprawne itp. Tematyka ta posiada już obszerną literaturę, często tendencyjną i jednostronną.

Wymienione tu przygotowania do wojny domowej w Polsce starano się wprowadzać w życie. Jednak większość wyrażonych - także w wielu depeszach z Londynu - życzeń dowódcy AK nie została spełniona, głównie ze względu na stanowisko mocarstw zachodnich. Na konferencji “Wielkiej Trójki” w Teheranie (28 listopada - 1 grudnia 1943 r.) wytyczono przyszłe granice Polski “na Odrze i Bugu”. Jednocześnie uznano Polskę za obszar przyszłych operacji radzieckich przeciwko Niemcom. Alianci zachodni zatem nie chcieli wprowadzenia swych wojsk do Polski, w tym także podległych im operacyjnie wojsk polskich z Zachodu. O decyzjach zapadłych w Teheranie nie powiadomili oni

jednak rządu polskiego w Londynie ani jego ekspozytur w kraju, co miało fatalne następstwa. W miarę zbliżania się Armii Czerwonej do Bugu w 1944 r. dowództwo AK brało więc pod uwagę nie tyle możliwość wojny domowej przeciwko siłom lewicy polskiej, ile konfliktu z wyzwającymi Polskę wojskami ZSRR, choć traktowano to jako *“niepożądaną ostateczność”* głównie w przypadku, gdyby chciały rozbrojenia oddziałów AK.²⁶ W meldunku do Londynu gen. Bór-Komorowski podkreślił 14 lipca 1944 r., że wydane przezeń rozkazy dla AK *“zmuszą Sowiety do łamania naszej woli siłą (...) będzie musiał nastąpić jawny gwałt, co może wywołać protest przyjaznych nam sojuszników”*.²⁷ Przywódcy obozu rządowego słusznie więc przewidywali, że toczące wojnę państwo nie będzie tolerować na swoim zapleczu uzbrojonych formacji z nim nie związanych, demonstrujących - zgodnie z otrzymanymi rozkazami - swą podległość rządowi przez to państwo nie uznawanemu. Jednocześnie tworzone zręby organizacji “NIE”, która miała podjąć działalność podziemną po wyzwoleniu Polski.

Niemal dokładnie w ten sposób, choć z przeciwnych pozycji, podchodził do tej kwestii Stalin. W wydany tego samego dnia (14 lipca 1944 r.) rozkazie o stosunku polskich oddziałów zbrojnych podległych rządowi emigracyjnemu (tj. Armii Krajowej) nakazywał:

“1) W żadne stosunki z tymi oddziałami nie wchodzić. Natychmiast po stwierdzeniu ich obecności ich stan osobowy rozbrajać i kierować do specjalnie utworzonych punktów zbornych dla kontroli.

*2) W przypadku stawiania oporu przez oddziały polskie użyć wobec nich siły zbrojnej.”*²⁸

Rozkaz ten częściowo zmieniono 1 sierpnia dyrektywą nr 220269, zezwalającą na kierowanie tych oddziałów AK, które wyraziły gotowość kontynuowania walki z Niemcami, do dyspozycji 1 Armii WP gen. Zygmunta Berlinga.²⁹

Oparte na tych dyrektywach działania służb radzieckich daleko wykraczały poza uprawnienia wynikające z umowy zawartej przez PKWN i rząd Związku Radzieckiego 26 lipca 1944 r. Umowa ta dopuszczała jurysdykcję radziecką tylko wobec przestępstw popełnionych przeciwko Armii Czerwonej w strefie operacji wojennych. W istocie zaś aresztowania i wywózki dotknęły głównie tych żołnierzy AK, którzy nie dopuścili się żadnych przestępstw tego rodzaju, za sam fakt ich przynależności do AK. Aresztowano nawet wielu tych, którzy wstąpili do Wojska Polskiego. U pozostałych wywoływało to zrozumiałe poczucie krzywdy, rozgoryczenia, nawet nienawiść, część poszła do lasu, gdzie pozostawały niektóre oddziały AK i NSZ. Podejmowały one walkę nie

tylko z oddziałami radzieckimi, lecz także z organami odradzającego się państwa polskiego, stosowały terror wobec zwolenników nowej władzy. Zmierzały także do osłabienia i dezorganizacji Wojska Polskiego, a tym samym obniżały wkład Polski w zwycięstwo nad Niemcami i jej pozycję w koalicji antyhitlerowskiej. Powstały ogniska zapalne wojny domowej.

Trzeba przy tym podkreślić, że o wiele więcej żołnierzy AK walczyło w szeregach 1 i 2 Armii i innych jednostkach WP, niż w podziemiu zbrojnym, a i tam, nawet w jego odłamie poakowskim wyraźną mniejszość stanowili byli żołnierze AK z czasów okupacji. Na przykład, w organizacji Warszyc (‘‘Konspiracyjne WP’’) na 1230 zbadanych przez historyka (Tadeusz Telma), tylko 440, tj. 36%, należało do AK. I dlatego pisanie wtedy i dziś, że to AK kontynuowała walkę przeciw państwu polskiemu i to po jej rozwiązaniu w dniu 19 stycznia 1945 r., jest fałszem i nadużyciem.

Jak z tego widać, zarówno stanowisko przywódców podziemia związanego z rządem polskim w Londynie, jak i stanowisko władz ZSRR, nie stwarzały możliwości jakiegokolwiek kompromisu, a na odwrót - były zarzewiem konfliktu zbrojnego, którego ofiarami stały się tysiące ludzi. W ten sposób, jeszcze przed końcem wojny z Niemcami, Polska wpelzała w nową wojnę domową.

Może to wydawać się dziwnym, ale siły związane z KRN nie poczyniły w okresie okupacji niemal żadnych przygotowań na wypadek rozwinięcia się po wyzwoleniu Polski walki o władzę i jej przerastania w wojnę domową. Niewątpliwie sądzono, że sam fakt wyzwolenia kraju przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie i ich obecność uniemożliwi wszczęcie przez przeciwników politycznych walki o władzę. KRN tworząc Armię Ludową przewidywała, że będzie ona - obok innych zadań związanych z wojną z Niemcami - także stać na straży spokoju i porządku w wyzwolonym kraju, zalecała również terenowym radom narodowym tworzenie w tym celu Milicji Ludowej.

Zbrojna siła akcja sił podziemia i rozmiary represji organów radzieckich zaskoczyły władze związane z PKWN. Formujące się władze polskie podległe PKWN, a później Rządowi Tymczasowemu, których głównym celem było uwolnienie Polski od okupantów hitlerowskich i udział w wojnie celem ich ostatecznego rozbicia, znalazły się wewnątrz kraju w sytuacji konfliktowej, do której nie były przygotowane i na wytworzenie której nie miały żadnego wpływu. Tworzone od zera służby bezpieczeństwa i porządku, oparte głównie na wcielanych do nich żołnierzy i partyzantów, nie były początkowo zdolne do skutecznego przeciwdziałania wzmagającej się aktywności podziemia zbrojnego. Z kolei prowadziło to do niepomiernego wzrostu ingerencji radzieckich służb ochrony tyłów.

W sprawozdaniach pełnomocników NKWD i Rad Wojennych Frontów tłumaczono ją początkowo nieobecnością, a później słabością służb polskich, jako niezdolnych do zapewnienie bezpieczeństwa zaplecza frontu, jego komunikacji i łączności. Na przykład, członek Rady Wojennej 1 Frontu Białoruskiego, gen. Telegin w raporcie z 30 października 1944 r. wskazywał na słabość i chwiejność organów PKWN w kwestii zwalczania tajnych organizacji, które wykorzystywały to dla zdobycia broni i zabójstw wojskowych radzieckich.³⁰ W tymże meldunku gen. Telegin informował, iż w wykonaniu wspomnianej dyrektywy nr 220169, rozbrojono dotychczas 19 871 członków AK i innych organizacji, z tego skierowano do Wojska Polskiego 4 700. internowano 627, stawilo czynny opór 22, pozostali wrócili do domów. Oddano 10407 karabinów, 1352 pistolety maszynowe, 64 granatniki, 37 rppanc., 263 pistolety. *“Część broni ukryto”*. Za nielegalne posiadanie broni zasądzono 42 osoby, z tego 10 na karę śmierci. Jak meldował Stalinowi Bułganin, przedstawiciel rządu ZSRR przy PKWN, od 1 sierpnia do 25 listopada 1944 r. z rąk podziemia polskiego zginęło 184, raniono 78, zginęło 2 wojskowych radzieckich. Również w innych meldunkach wymieniano liczne takie fakty i domagano się zdecydowanych wystąpień przeciwko temu. Wynikiem tych żądań było wzmożenie represji dokonywanych przez organa kontrwywiadu wojskowego *“Smiersz”* (*“śmierć szpionom”*) i wojska NKWD, ustanowienie trybunałów wojennych oraz rozbudowa komend wojennych i ich kompetencji.

Z meldunków Berii do Stalina wynika, iż do 17 sierpnia 1944 r. do obozów NKWD wysłano 3415 Polaków, od 15 października do 11 stycznia 1945 r. aresztowano dalszych 13 142, w tym 9 101 żołnierzy AK. W wyniku tych działań, według stanu na 20 października w obozach NKWD przebywało 17 010 obywateli polskich, z których 12 289 postanowiono zwolnić w myśl żądań rządu polskiego.³¹

W miarę umacniania się państwa polskiego wzrosła jego zdolność do rozstrzygania problemów i konfliktów wewnętrznych własnymi siłami. Przeniesienie działań wojennych Armii Czerwonej wiosną 1945 r. na terytorium Niemiec spowodowało odpięcie jej głównych sił z Polski. Przyczyniło się to do zmniejszenia ingerencji ZSRR w sprawy wewnętrzne polskie, której coraz śmielej przeciwstawiały się władze RP, aczkolwiek nie były w stanie jej wyeliminować. Działania NKWD miały zresztą całkowicie bezprawny charakter, gdyż Polska przestała być *“strefą operacji wojennych”*. Jaskrawym przykładem takich działań były m.in. masowe represje w rejonie Augustowa, a przede wszystkim porwanie i proces *“Szesnastu”*. Wywołało to protest Władysława Gomułki, który zażądał od Stalina odwołania z Polski organizatora tych akcji, gen. Sierowa, co też nastąpiło.³²

Czy w Polsce była wojna domowa?

Po zakończeniu wojny z Niemcami przed społeczeństwem i nowymi władzami stanęły ogromne i niezwykle trudne zadania. Najpoważniejsze z nich to: odbudowa zdewastowanego kraju, uruchomienie zniszczonego przemysłu i transportu, reforma rolna i wyżywienie narodu, przejęcie, zasiedlenie i zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych. Zrealizować je można było jedynie w warunkach stabilizacji i porządku prawnego oraz zapewnienie bezpieczeństwa państwu i jego obywatelom, spokoju społecznego. Tylko w takich warunkach mogło nastąpić umocnienie **suwerenności** Polski.

Osiągnięcie tych celów, dyktowanych żywotnym interesem narodowym, nie było jednak możliwe bez rożadowania głębokich sprzeczności i napięć politycznych spowodowanych głównie zmianami ustrojowymi, przede wszystkim parcelacją wielkiej własności ziemskiej, a także błędami w postępowaniu władz, zakłóceniami w zaopatrzeniu ludności, trwającą mimo zakończenia wojny obecnością wojsk radzieckich i powstającymi na tym tle konfliktami. Szerzyły się nastroje niechęci i oporu wobec nowych władz, co stwarzało podatny grunt dla wzrostu wpływów opozycji politycznej i podziemia zbrojnego, które osiągnęło największe rozmiary w drugiej połowie 1945 i w 1946 r. W jego walce z nowym reżymem, prowadzonej pod hasłami obalenia rządu "samozwańców" i wypędzenia wojsk sowieckich istotną rolę odegrało istnienie rządu emigracyjnego w Londynie, który mimo utraty uznania międzynarodowego dysponował nadal środkami materialnymi i propagandowymi umożliwiającymi mu wpływanie na nastroje części społeczeństwa polskiego i opinię w krajach zachodnich.

W drugiej połowie 1945 i w 1946 r. wzrosła aktywność podziemia zbrojnego zwłaszcza w dziedzinach terroru i dywersji. Jednakże jego główne cele, tj. przejęcie władzy na znaczących obszarach kraju, przyciągnięcie części wojska i dużej liczny ochotników - nie zostały osiągnięte. Rezonans międzynarodowej działalności podziemia polskiego pozostawał niewielki. Aktualny układ sił w Europie nie stwarzał jakichkolwiek realnych szans na obalenie władzy w kraju i odejście wojsk radzieckich, sprawujących władzę okupacyjną w Niemczech Wschodnich. Nastawiano się więc na przetrwanie aż do wybuchu spodziewanej III wojny światowej i oczekiwanego w niej zwycięstwa Stanów Zjednoczonych, które jako jedyne dysponowały wówczas (do września 1949r.) bronią jądrową. Na przykład, okólnik WiN nr 11 z 1 lutego 1946 r. zawierał wytyczne działalności w przypadku *"prawdopodobnego wybuchu konfliktu zbrojnego pomiędzy Anglosasami a Rosją."*³³

Ale III wojna nie wybuchła. Można sobie jednak wyobrazić, jaki byłby los Polski, położonej w strefie o ogromnym znaczeniu strategicznym. Nadzieje na III wojnę podsycała propaganda organizacji podziemnych oraz środowisk emigracyjnych, a opierały się one na widocznym narastaniu sprzeczności w obozie zwycięzców.

Działalność dywersyjna i terrorystyczna podziemia zbrojnego miała być przygrywką dla III wojny, a może jej detonatorem; przyniosła destabilizację i anarchizację kraju oraz ogromne ofiary w ludziach. Jeszcze dziś wstrząsają opisy tortur i morderstw popełnionych na robotnikach i na chłopach biorących udział w reformie rolnej, na mieszkańcach całych wsi wraz z kobietami i dziećmi (Wierchowiny, Puchaczów, Rozkopaczew i in.) za popieranie władzy państwowej, na milicjantach i żołnierzach, na ocalałych od zagłady Żydach. Budziło to z kolei determinację i gotowość walki u będących obiektem terroru zwolenników władzy ludowej, przyczyniało się do zasilenia formacji broniących państwa przez tysiące ochotników, głównie robotników i chłopów, ale zarazem wywoływało chęć odwetu, brutalizację oraz przejawy okrucieństwa i demoralizacji obrońców państwa. Do młodego aparatu bezpieczeństwa przenikały ponadto negatywne zjawiska występujące w aparacie radzieckim, a także w polskim przedwojennym aparacie policyjnym, którego metod opierających się na biciu aresztowanych, wielu ludzi lewicy doświadczyło na własnej skórze.

Mimo ogromnych trudności i wielu negatywnych zjawisk następowała stabilizacja kraju, odnosiła sukcesy odbudowa gospodarki narodowej, poprawiało się zaopatrzenie ludności. Do rozładowania podziemia przyczyniały się także działania polityczne władz, a w szczególności amnestia 1945 i 1947 r., ujawnienie się tysięcy ludzi podziemia - łącznie z działaniami natury wojsko-policyjnej. Działania te nie mogłyby owocować bez rosnącego poparcia społecznego. O jego rozmiarach świadczy fakt, że np. w roku 1946, gdy terror osiągnął szczytowe nasilenie, do Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej wstąpiło 102 tysiące ludzi, w tym 52% robotników, 45% chłopów, przeważnie członków PPR, PPS, SL i organizacji młodzieżowych. Z tychże kręgów wywodziły się ówczesne kadry Milicji Obywatelskiej (ponad 56 tysięcy) i urzędów bezpieczeństwa (23 tysiące). Ponadto z podziemiem zbrojnym walczyło ponad 29 tysięcy żołnierzy KBW, ok. 20 tys. WOP, 40 tysięcy było w jednostkach Wojska Polskiego zaangażowanych w tę walkę. Łącznie, w obronie państwa ludowego uczestniczyło 300 tysięcy Polaków, poświęcających często swe zdrowie i życie.

Trzeba podkreślić, że w tymże 1946 roku, PPR, do której przynależność na wielu terenach kraju groziła torturami i śmiercią, zasiłło 320 tysięcy

nowych członków (ogółem było ich wtedy 556 tysięcy). Podobnie rosła PPS oraz organizacje młodzieży robotniczej i chłopskiej.

* * *

Najpoważniejsze encyklopedie, takie jak Larousse Universel (Paryż 1982), The Concise Oxford Dictionary (Oxford 1964), Brockhaus Enzyklopdie (Mannheim 1987) a także polskie (WEP, Mała Encyklopedia Wojskowa) określają w zbliżony sposób termin "wojna domowa" jako *"wojnę o supremację w państwie pomiędzy jego obywatelami czy też jako "walkę zbrojną w łonie tego samego państwa"*. Leksykon Wiedzy Wojskowej (Warszawa 1979 r.) dodaje do tego, iż wojna domowa, choć *"prowadzona w oparciu o bazę wewnętrzną, często wspierana jest też przez inne państwa, które oficjalnie i bezpośrednio nie biorą w niej udziału."*

W każdej wojnie, w tym i w wojnie domowej, mogą toczyć się działania regularne i nieregularne. Działania nieregularne w postaci wojny partyzantkiej, podjazdowej dywersji, "guerilli" (wg. cytowanego Oxford Dictionary *"guerrilla war"* to *"wojna nieregularna prowadzona przez niewielkie grupy działające niezależnie"*). stanowiące pierwszą fazę wojny domowej, mogą przenieść w drugą fazę - działań regularnych, w wyniku opanowania określonych połaci kraju i wytworzenia się linii frontu, a więc w wojnę "klasyczną". Polska wojna domowa, mimo jej dużej intensywności z zaangażowania po obu stronach pokaźnych sił, nie wyszła poza pierwszą fazę, w odróżnieniu od wojny domowej w Rosji (1918-1921), Hiszpanii (1936 - 1939), Grecji (1944-1949), Chinach itp.

To, co miało miejsce w Polsce można zatem ocenić jako - wojnę domową ograniczoną:

a) ograniczoną terytorialnie - głównie do wschodnich i centralnych części Polski,

b) ograniczoną co do jej charakteru i sposobu prowadzenia walki do jej pierwszej fazy, tj do wojny partyzantkiej, "guerilli", działań dywersyjnych, sabotażowych itp. Jak już poprzednio powiedziano, do przekształcenia się jej w drugą fazę w Polsce nie doszło.

Cechą charakterystyczną wojny domowej było także istnienie w niej przeciwstawnych ośrodków kierowniczych (w Polsce rządów w Warszawie i w Londynie) a także ilości ludzi zaangażowanych w walkach wewnętrznych i ich ofiar, a także ogromne nasilenie zjadłości, brutalności i okrucieństw po obu stronach - typowe dla wojny domowej.

Była to więc - acz ograniczona - wojna domowa. Po obydwu jej stronach było zaangażowanych ok. 450 tysięcy ludzi; liczebność sił

antyrządowych można określić na ok. 150 tysięcy (uwzględniając m.in. także aresztowanych i ujawniających się), z tego ok. 30 tysięcy w oddziałach zbrojnych.

Liczba ofiar polskiej wojny domowej bywa nieraz tendencyjnie zawyżana lub заниżana: dokładne są jedynie straty zbrojnych organów władzy. Zginęło: 4 018 milicjantów, 1 615 funkcjonariuszy UBP, 3 729 żołnierzy WP, KBW i WOP, 495 członków ORMO - razem 9 857 ludzi. Wśród ofiar podziemia zbrojnego było też - wg obliczeń Tadeusza Kosowskiego - 5 043 bezbronných osób cywilnych, w tym 2 655 rolników i 691 gospodyń domowych oraz 187 dzieci do lat 14. Po stronie podziemia zbrojnego 7 672 osoby, a wśród nich 280 skazanych na śmierć i zmarłych w więzieniach. Zginęło też 1 980 wojskowych radzieckich, głównie powracających do kraju po wojnie. Łącznie było więc ok 25 - 30 tysięcy ofiar. Dla porównania: wojna domowa w Grecji trwająca od końca 1944 roku do lata 1948 r., w której główną rolę odegrało 70 tysięcy żołnierzy brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego gen. Scobie, spowodowała około 50 tysięcy ofiar po obydwu stronach.

W ciągu 1947 r. następowało stopniowe wygasanie czynników składających się na ograniczoną wojnę domową. Nie doszło do przekształcenia się jej w wojnę regularną; siły podziemia nie zdołały opanować jakiegokolwiek części kraju i doprowadzić do powstania określonej linii frontu. Społeczeństwo pragnęło spokoju i wytchnienia po straszliwych przeżyciach, kurczyła się baza społeczna podziemia. Następowala stabilizacja i odbudowa kraju oraz poprawa sytuacji materialnej ludności. Polityka władz państwowych ułatwiała wyjście z podziemia jego uczestnikom (m.in. przez amnestie w 1945 i 1947 r.), zaś jego główne struktury zostały rozbite w wyniku działań wojskowo-policyjnych. Po 1947 r. pozostawały jeszcze nieduże grupy zbrojne, przeważnie o charakterze rabunkowym. Poważnie zmalała też liczba ofiar walk wewnętrznych.

Tymczasem, już po wygaśnięciu walk w Polsce, nastąpiło zaostrzenie się sytuacji międzynarodowej. "zimna wojna", a zarazem nasilenie dyktatu Stalina i stalinizacji w Polsce, połączonej z recydywą sekciarstwa i dogmatyzmu oraz represyjności władzy, z pokazowymi procesami, z niewinnymi ofiarami zbrodni sądowych itp. To stanowi już jednak późniejszy okres - trwający do 1956 r. - i odrębny temat.³⁴

* * *

Wypada także zastanowić się, jaka była rola czynnika zewnętrznego w polskiej wojnie domowej. Po zakończeniu wojny w Europie pozostała w Polsce, głównie w bazach na jej ziemiach odzyskanych, poniemieckich, utworzona 10 czerwca 1945 r. kilkudziesięciotysięczna Północna Grupa Wojsk

Radzieckich. Choć obecność jej miała istotne znaczenie polityczne i psychologiczne, nie uczestniczyła ona bezpośrednio w walkach wewnętrznych w Polsce, której terytorium stało się ważnym dla ZSRR pomostem łączącym go jego armiami walczącymi w Niemczech, a po zakończeniu wojny w Europie - z jego strefą okupacyjną. Jak wynika z meldunku ministra spraw wewnętrznych ZSRR Krugłowa do Stalina, 20 kwietnia 1945 r. stacjonowało w Polsce 13530 żołnierzy wojsk NKWD (MWD). Do marca 1947 r. pozostawało ich jeszcze 4199 (64 dywizja) oraz jednostki zabezpieczające łączność "Wcz" - wysokiej częstotliwości.³⁵ Do 1956 r. pozostawała grupa doradców radzieckich w MBP, a w Wojsku Polskim wielu oddelegowanych oficerów radzieckich, częściowo Polaków.

O stopniowym zmniejszaniu się bezpośredniego zaangażowania radzieckiego w walki wewnętrzne w Polsce świadczą także imienne wykazy żołnierzy Armii Czerwonej, którzy zginęli z rąk podziemia polskiego. Wynika z nich, że 96% zginęło w okresie między lipcem 1944 a sierpniem 1946 r., w tym najwięcej - 60% - w 1945 r. Później ofiarami byli wyłącznie obywatele Polski.

Trzeba dodać, że aż do maja 1945 roku wyzwolone terytorium Polski było terenem penetracji hitlerowskich grup dywersyjno-wywiadowczych kierowanych przez Abwehrę i RSHA. Tylko w II połowie 1944 r. przerzucono na tyły Armii Czerwonej 1024 agentów różnych narodowości w mundurach radzieckich, a niekiedy także polskich, z tego w rejonie grup armii "A" i "Środek", a więc w Polsce, 392. Do ich ujęcia, głównie przez kontrwywiad radziecki, często przyczyniali się Polacy.

Wśród zrzuconych agentów prawie nie było Polaków. Wyjątek stanowiło 6 grup zmontowanych ze składu Brygady Świętokrzyskiej NSZ, liczących łącznie ok. 70 osób.³⁶

Hitlerowskie grupy terrorystyczne i dywersyjne działające na podstawie rozkazów przywódców III Rzeszy, działały także i po jej kapitulacji, przy czym wiele z nich używało nadanej przez władze hitlerowskie nazwy Werwolf (wilkołak). Znacznie dłuższe i o wiele bardziej krwawe były działania UPA w południowo wschodniej Polsce, prowadzone jednocześnie na terytorium Ukrainy i Czechosłowacji. Po ciężkich walkach, które przyniosły m.in. śmierć gen. Karola Świerczewskiego - "Waltera" wiceministra Obrony Narodowej, zakończenie ich związane było z tzw. akcją "Wisła", tj. przymusowym przesiedleniem ludności ukraińskiej do innych części Polski. Aczkolwiek pewna część sił UPA przenikała do Polski z zagranicy, z Ukrainy Radzieckiej i Słowacji, to większość ich stanowili obywatele polscy. Dlatego też walk z UPA nie można

traktować jako walki z wrogiem zewnętrznym, lecz jako fragment polskiej wojny domowej.

Jak w każdej wojnie domowej, walczące strony orientowały się na wsparcie czynników zewnętrznych. W wyniku dokonanego w Teheranie podziału Europy na strefy armii sojuszniczych, przekształcone następnie w strefy wpływów wielkich mocarstw, Polska znalazła się pod dominacją Związku Radzieckiego, wspierającego oczywiście ten obóz polityczny, który chciał, a później także mógł, zapewnić mu sojusznicze wsparcie w wojnie z Niemcami i bezpieczeństwo na zapleczu frontu, a po ustaniu wojny - bezpieczeństwo połączeń z jego strefą okupacyjną w Niemczech. W innej sytuacji znajdował się obóz związany z rządem emigracyjnym w Londynie, który w lipcu 1945 r. ostatecznie utracił uznanie międzynarodowe. Bezpośrednia pomoc Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nie była możliwa, choć państwa te dość długo utrzymywały w swej części Europy dwustutysięczne wojska polskie podległe temu rządowi, ułatwiały jego łączność z krajem, udzielały mu politycznego poparcia w różnej postaci. Poparcie to, połączone z penetracją wywiadowczą Polski, nasilało się w miarę pogarszania się stosunków pomiędzy mocarstwami zachodnimi a ZSRR i dojrzewania "zimnej wojny".

Czynnik zewnętrzny miał szczególne znaczenia psychologiczne w rachubach na zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w wojnie przeciwko ZSRR przy użyciu broni jądrowej. Sądono, iż oddziały podziemia zbrojnego mogą stworzyć bazy dla lądowania desantów wojsk z Zachodu. Ogólnie jednak stwierdzić trzeba, iż czynnik zewnętrzny nie zadecydował o klęsce i rozpadzie podziemia zbrojnego. O ograniczonym przebiegu i wyniku wojny domowej zadecydowało społeczeństwo polskie.

Czy była to walka o niepodległość i suwerenność Polski?

Organizacje podziemia określały swą działalność w prowadzonej przez nie propagandzie jako walkę o suwerenność i niepodległość Polski przeciwko okupacji sowieckiej. Tak też zapewne rozumiało ją wielu uczestników tej działalności. W istocie jednak im większe było nasilenie podziemia, tym mniejszy był zakres suwerenności Polski, gdyby zaś zagroziła ona w istotnym stopniu globalnym interesom ZSRR, a także wiodącym przez Polskę jego połączeniom z okupowanymi Niemcami, mogłoby dojść do prawdziwej okupacji Polski i - być może - utraty niepodległości. Hasło walki o niepodległość

kamuflowało istotne cele zbrojnego podziemia: dążenie do władzy i przywrócenie systemu przedwojennego. Używanie dziś tego nazewnictwa dla okresu po 1944 r. wypacza prawdę historyczną i służy aktualnym celom politycznym prawicy, opierającej swą egzystencję głównie na negacji i zohydzeniu państwa realnie istniejącego w latach 1944 - 1989.

Określanie jako walki o niepodległość zwalczania państwa niepodległego, posiadającego wszelki atrybuty niepodległości, będącego podmiotem prawa międzynarodowego, mającego nigdy nie kwestionowane uznanie międzynarodowe i zdolność do działań prawnych na arenie międzynarodowej i do samodzielnego regulowania spraw wewnętrznych itp. - stanowi swoiste curiosum. Ale niepodległość i suwerenność to nie są pojęcia identyczne. Faktem jest, iż suwerenność Polski była wówczas ograniczona przez fakt stacjonowania na jej terytorium obcych wojsk, przez związanie paktem wojskowym z o wiele silniejszym mocarstwem, z występującą w różnym stopniu i w różnych okresach ingerencją tego mocarstwa w wewnętrzne sprawy Polski. Nie trzeba dodawać, iż tego rodzaju lub podobne ograniczenie suwerenności było (i jest) udziałem większości państw europejskich po II wojnie światowej. Nie można negować tego, że wielu uczestników działań wymierzonych przeciwko realnie istniejącemu państwu polskiemu działało w przekonaniu, że walczą o suwerenność i niepodległość Polski. Ale nie mniej godne uznania intencje mieli także ci, którzy usuwali pozostałości hitlerowskiego aparatu okupacyjnego, przeciwstawiali się terroryzmowi i destrukcji państwa odradzającego się i odbudowującego się ze straszliwych zniszczeń, działając w przekonaniu że w ten sposób przyczyniają się do rozszerzenia suwerenności i umocnienia niepodległości Polski. Walczący po obu stronach polskiej wojny domowej poświęcali się dla sprawy, w którą wierzyli. Trzeba jednak uznać nie tylko za niesprawiedliwość, za fałszowanie historii, ale także za manipulację dla dokonania odwetu politycznego - nazywanie tylko tych formacji i osób, które podjęły walkę zbrojną o władzę w państwie, *“działającymi na rzecz suwerenności i niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej”*, zaś tych, którzy się im przeciwstawiali, *“zwalczającymi organizacje oraz osoby działające na rzecz suwerenności i niepodległości RP”*, którym należy odebrać uprawnienia nabyte w walce o niepodległość w latach II wojny światowej. Stosuje się wobec nich zasadę odpowiedzialności zbiorowej, traktując jako przestępców przeciwko *“suwerenności i niepodległości Polski”*, bez próby zbadania ich osobistej działalności. Natomiast wszystkim ludziom zwalczającym ówczesne państwo nadaje się uprawnienia kombatanów, choćby nawet nigdy *“nie splamili się”*

walką z okupantem hitlerowskim. lecz popełniali zbrodnie bratobójcze na przeciwnikach politycznych w walce o władzę.

Współcześni apologetci powojennego podziemia zbrojnego, wykorzystując słabą powszechnie znajomość ówczesnych realiów, zdolali tę terminologię wprowadzić do obowiązujących aktów prawnych, m.in. do ustawy o kombatantach z 24 stycznia 1991 roku, a także do późniejszych projektów jej nowelizacji.

Spory o termin "wojna domowa"

Problem uznania, czy krwawe walki wewnętrzne trwające w Polsce w latach 1944 - 1947 można określić jako wojnę domową, budzi obecnie ostre kontrowersje, nie tyle natury naukowej, ile politycznej i społecznej, jako że stał się podstawą do kwalifikowania uczestników tych walk, w tym także kombatanatów II wojny światowej, jako godnych lub niegodnych uprawnień kombatanckich.

Wtedy, gdy toczyły się te walki, w publicystyce krajowej i w dokumentach urzędowych używano głównie określeń "*walka z reakcją*", czy wręcz "*walka z bandami*", aby tym mocniej potępić stronę antyrządową. Później nazywano to "*walką u utrwalenie władzy ludowej*", a także "*w obronie państwa*". Termin "wojna domowa" wchodził do obiegu w latach sześćdziesiątych stopniowo, gdy okres walk wewnętrznych stawał się przedmiotem badań historyków, zaś w publicystyce PRL starano się o zacieranie dawnych podziałów i pojednania kombatanatów, w myśl wezwań Władysława Gomułki do "*nie dzielenia krwi przelanej za Ojczyznę*". Dostrzegano wówczas konflikt odmiennych racji ideowo-politycznych, a nie walkę absolutnego dobra z totalnym złem. Torowały sobie drogę poglądy umiarkowane, wyważone, oparte na głębszej analizie. I tak np. Krystyna Kersten określiła w swej pracy o PKWN wydanej w 1965r. sytuację w Polsce "lubelskiej" jako "*elementy wojny domowej*". Podobne stwierdzenia znajdujemy w podręcznikach historii Romana Wapnińskiego (dla II kl. liceów, cz. II, s. 127), Józefa Szaflika³⁷, Tadeusza Walichnowskiego³⁸ i in.

Pojęcia "*ograniczonej wojny domowej*" użył w 1979 r. zmarły przedwcześnie historyk Jerzy Terej. Stwierdził on: "*Krwawa, i sądzić należy, długotrwała wojna domowa w swej najbardziej rozwiniętej formie została na przełomie wojny i pokoju jeśli nie zażegnana - bo było to z uwagi na determinację w obronie swych podstawowych racji politycznych i społecznych obozu antyrewołucyjnego niemożliwe - to w każdym razie w sposób istotny,*

pod względem zasięgu społecznego, społecznych i narodowych kosztów - ograniczona".³⁹

Jest rzeczą interesującą, że nazwy wojny domowej używali także niektórzy autorzy emigracyjni, oczywiście w innym kontekście. Na przykład Lesław Jurewicz, autor książki opartej na wypowiedziach Leonarda Zub-Zdanowicza - "Zęba", określił początek tej wojny na lato 1943 r., wiążąc to z wymordowaniem przez "Zęba" 26 osobowego oddziału GL pod Borowem (sierpień 1943). Nazwał to "*akcją prewencyjną, która zapoczątkowała długotrwałą wojnę domową*", usiłując wykazać, iż zbrodnia ta dokonana została na podstawie kodeksu karnego z 1932 r., który karał śmiercią za "*przejsięcie na stronę nieprzyjaciela*" i godzenie w całość Rzeczypospolitej, czyli za aprobowanie linii Curzona przez PPR i GL.⁴⁰ Podobnie, oficer AK i WiN Józef Modrzejewski lokuje początek wojny domowej na dzień 1 stycznia 1944, gdy to KRN jakoby ogłosiła się jedyną prawną władzą w Polsce.⁴¹

Wśród współczesnych wypowiedzi historyków na uwagę zasługują m.in. sformułowania prof. Andrzeja Paczkowskiego, który stwierdził iż "*Na znacznej części terytorium kraju - głównie na wschód i południe od Wisły - w latach 1945 - 1946 trwał stan o wyraźnych cechach wojny domowej, tym bardziej, że od połowy 1945 r. aktywność służb radzieckich szybko się zmniejszała*".⁴² Prof. Andrzej Zakrzewski do "białych plam" naszej historii zaliczył m.in. "*wojnę domową 1944 - 1948, w czasie której jedną ze stron wspierała armia wielkiego sąsiedniego mocarstwa*".⁴³ Andrzej Micewski pisał "*o tragicznej wojnie domowej między władzą narzuconą Polsce po Jalcie, a formacjami uznającymi rząd londyński, w której po obu stronach zginęło po 10 tysięcy i więcej ofiar*".⁴⁴ Także Jacek Kuroń, w napisanej wraz z Jackiem Żakowskim książce "*PRL dla początkujących*"⁴⁵ nie szczędząc negatywnych ocen PRL, stwierdził: "*w latach 1944-1945 terror był selektywny - skierowany przeciw ludziom, którzy mieli broń. Toczyła się regularna wojna domowa*". I dalej: "*W 1945 r. (...) ruszył proces wyrażania się partyzancki w bandytyzm. Od chwili rozwiązania AK coraz trudniej było odróżnić bandę rabunkową od grupy niepodległościowej*".⁴⁶ "*Jeszcze bardziej złożona była sytuacja na terenach białoruskich (...) polskie podziemie zabijało Białorusinów*".⁴⁷

Niezależnie jednak od mniej lub bardziej wyważonych i rzeczowych wypowiedzi i ocen historyków i publicystów, powróciła czarno-biała wersja historii, niekiedy w wydaniu "cudownie nawróconych" autorów, którzy dziś "*absolutne dobro widzą tam, gdzie dawniej widzieli absolutne zło*".⁴⁸ Zaprzeczają oni istnieniu wojny domowej, w której obie walczące strony kierowały się jakimiś racjami ideowymi, i przyznają rację tylko jednej stronie,

tj. zbrojnemu podziemiowi zwalczającemu ówczesne państwo. Tak uzasadniała to Krystyna Kersten w "Gazecie Wyborczej" z 23 lutego 1991 r.: *"Uważam, że - generalnie - powojenna konspiracja stanowiła najbardziej radykalną postać szerokiego wachlarza oporu wobec przemocą ustanowionego porządku. To ten porządek stanowił pogwałcenie norm prawa międzynarodowego i prawa narodów do stanowienia o sobie, był triumfem prawa siły nad siłą prawa. Naruszenie wprowadzonych przez komunistów kodeksów i dekretów było równoznaczne z występowaniem przeciw bezprawiu, narzucanemu terrorem, i to obcym terrorem, bo, na początku zwłaszcza realizowanym w dużym stopniu przez NKWD. Trzeba sobie wreszcie jasno powiedzieć: nie ci, którzy konspirowali, ale ci, którzy ich sądzili znajdowali się poza prawem"*. W innej wypowiedzi⁴⁹, potępiając niektóre ekscesy podziemia, doszła do wniosku, że nie można tu mówić o wojnie domowej lub jej elementach, ponieważ po jednej stronie działała siła zewnętrzna, tj. ZSRR, zaś druga strona walczyła o uniezależnienie się od niej.

Tego rodzaju poglądy na przeszłość służyły nie tylko specyficznemu naświetlaniu historii. Spełniały one (i spełniają) określoną aktualną funkcję polityczną, stanowiąc ideologiczne uzasadnienie dla działań skrajnej prawicy, żadnej odwetu na swych przeciwnikach politycznych sprzed półwiecza. Przykładem mogą tu być wypowiedzi posłów w toku debaty sejmowej nad nowelizacją ustawy o kombatanach. Przedstawiciel KPN, poseł Andrzej Ostoja-Owsiany orzekł: *"WPolsce w tych latach (1944-1956) wojny domowej nie było. Polacy bronili się w imię sprawiedliwości i niepodległości przed obcym mocarstwem, które posługiwało się swoimi najemnikami"*.⁵⁰ Jednocześnie wypowiedział się za faktycznym utrzymaniem wprowadzonej do ustawy o kombatanach zasady odpowiedzialności zbiorowej, tj. za pozbawieniem kombatanów ich praw honorowych nabytych przez udział w walce z okupantem bądź pobyt w więzieniach i obozach, jeżeli zostali oni - przeważnie jeszcze w czasie trwania wojny - wcieleni do służb specjalnych odradzającego się państwa polskiego, nawet jeżeli nie dopuścili się oni żadnych przestępstw. Podobny pogląd wyraził poseł Unii Wolności - Jan Lityński i przedstawiciele niektórych klubów. Przeciwwstawili się oni stanowisku Klubu Parlamentarnego SLD, które wyrazili posłowie Marian Dyduch i Stanisław Rusznica. Ten ostatni określił początkowy okres Polski Ludowej za *"okres swoistej wojny domowej. (...) Bratobójcza wojna domowa była udziałem nie tylko powojennej Polski. Wielokrotnie więcej ofiar pochłonęły wojny domowa w Hiszpanii i w Grecji. (...) Tam już dawno uznano - w sposób godny cywilizowanych państw - uczestników obydwu walczących stron za równoprawnych kombatanów"*.⁵¹

Stanowisko prawicy poparł w pełni poseł PSL, aktualny kierownik Urzędu d/s Kombatantów i Osób Represjonowanych prof. Adam Dobroński: *“Mówiono o sporach historyków dotyczących tego, czy w Polsce była wojna domowa, czy nie. W imieniu społeczności historyków mogę chyba stwierdzić, iż większość z nich uważa, że takiej wojny nie było, nie można porównywać Polski i Hiszpanii”*.⁵² Podobny pogląd wyraził on w debacie sejmowej w styczniu 1996 r. oraz w szeregu artykułów i wywiadów prasowych (ostatnio na łamach pisma Urzędu d/s Kombatantów⁵³ oraz wygłosił na spotkaniu kombatantów w Sejmie 17 stycznia 1997 r. . Nie wiadomo tylko, w imieniu jakiej “społeczności historyków” występował prof. Dobroński i jakim sposobem ustalił ich “większość”, chyba że za historyków uznał weteranów powojennego podziemia, żadnych odwetu na swych przeciwnikach politycznych sprzed półwiecza. I tak np. obecny prezes Światowego Związku Żołnierzy AK, mjr Stanisław Karolkiewicz w piśmie do Klubu Parlamentarnego SLD, usiłującym podważyć znaczenie wspomnianego spotkania kombatantów 17 stycznia 1997 r., stwierdził m.in., iż termin wojna domowa pojawił się dopiero w 1991 r., jako *“twór byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa PRL”*, którzy chcieli uznania obu zwalczających się stron za popełniających jednakowe zbrodnie, podczas gdy *“nie można mówić o jednakowej walce dwóch stron tam, gdzie czynnikiem decydującym jest siła zbrojna obcego państwa”*.⁵⁴ Tę samą myśl rozwinął na łamach “Życia” 15 lutego br. Jerzy Ślaski na zapowiedź odbycia konferencji w sprawie wojny domowej w Polsce, stwierdzając, że nie może być mowy o wojnie domowej, gdyż *“nie były to uczciwe, żołnierskie zmagania dwóch obozów politycznych”* lecz *“gigantyczna akcja pacyfikacyjna, mająca sterroryzować i zniewolić cały naród”* przy udziale *“setek tysięcy żołnierzy sowieckich”*.⁵⁵

Tego rodzaju oceny nie mają nic wspólnego z prawdą historyczną, ani nawet z próbą jej obiektywnego zbadania. W istocie zaś do rzeczowych wniosków można dojść tylko na podstawie analizy faktów, a nie woli domniemanej większości, czy pełnych nienawiści i zaciętrzewienia głosów ludzi skrajnej prawicy, lub na podstawie koniunkturalnych tez historyków, którzy doznali “objawienia” po zmianie władzy. Im to należałoby zadedykować słowa posłanki Izabeli Sierakowskiej użyte w odpowiedzi na zarzuty majora Karolkiewicza: *“Brakiem elementarnego poczucia sprawiedliwości jest całkowite zignorowanie zbrodni popełnionych przez powojenne podziemie na kilkunastu tysiącach ludzi”*.⁵⁶ Ci, którzy nie chcą wiedzieć o ofiarach obydwu stron wojny domowej, a widzą tylko ofiary swojej strony, nie chcą dziś rzeczywistego pojednania kombatantów.

Przypisy

- 1 AK w dokumentach, t. II, Londyn 1973, s./238
- 2 Tamże, t. II, s. 292
- 3 Archiwum Akt Nowych (dalej AAN) Akta Okręgu Częstochowskiego NSZ, t. III, k. 11
- 4 Tamże, k. 21, rozkaz nr 3 z 20 X 1942 r.
- 5 AAN, 207/4, k.31
- 6 Publicystyka konspiracyjna PPR, t. I, Warszawa 1961, s. 110
- 7 Wojskowy Instytut Historyczny (dalej WIH, t. 10/V k. 8-10
- 8 AAN, 190/1-20
- 9 „Agencja A” z 26 lipca 1943 r.
- 10 „Szaniec”, 14 sierpnia 1943 r.
- 11 „Wielka Polska” 32 lipca i 28 sierpnia 1943 r.
- 12 „Wielka Polska” z 27 października 1943 r.
- 13 Drogi do wyzwolenia, Warszawa 1979 s. 344 i nast. 491 i nast.
- 14 AAN, 202/I-7, k. 40
- 15 Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej, t. III, Londyn 1950 (dalej PSZ) s. 531
- 16 AAN, 203/XIV, k. 1- 45
- 17 AAN, 203-2 k.37
- 18 AAN, 190/1/-1
- 19 „Robotnik” 30 września 1943 r.
- 20 PSZ, III, 559
- 21 „Trybuna Wolności” z 1 lipca 1943 r.
- 22 Rozkazy i odczyny Dowództwa Głównego GL, Łódź 1946, s. 32
- 23 „Gwardzista” z 15 października 1943 r.
- 24 AK w dokumentach, t. III, Londyn 1976, s. 153
- 25 Tamże, s. 173
- 26 Tamże, s. 517
- 27 Tamże, s. 549
- 28 SSSR i Polska 1941-1945, Moskwa 1994, s. 161
- 29 Tamże, s. 335
- 30 AIML Moskwa, mikrofilm (mf) H-1093
- 31 NKWD i polskie podpolje, Moskwa 1994, ss. 47, 86, 238
- 32 Władysław Gomułka: Pamiętniki, Warszawa 1994, t. II, s. 515-518
- 33 Tomasz Honkisz, Opór cywilny czy walka zbrojna (mps)

- 34 por. Andrzej Werblan, *Stalinizm w Polsce*, Warszawa 1991 oraz „Dziś”, 1991 nr 1
- 35 NKWD i polskie podpolje, s. 287, 292
- 36 Ryszard Nazarewicz: Wywiad i dywersja III Rzeszy na wyzwolonym terytorium Polski (lipiec 1944 - maj 1945), *Wojskowy Przegląd Historyczny* 1983 nr 2-3
- 37 *Historia* 1939 - 1947, s. 183
- 38 *Kryzysy i konflikty*, s. 123
- 39 „*Literatura*”, 10 lipca 1979 r.
- 40 *Zbrodnie czy początek wojny domowej*, Londyn 1980
- 41 *Od Armii Krajowej do wojny domowej*, Nowy Jork 1985
- 42 *Zdobycie władzy 1945-1947*, Warszawa 1993, s. 45
- 43 „*Przegląd Tygodniowy*” z 29 października 1989.
- 44 „*Wiadomości Kulturalne*” z 21 maja 1995
- 45 *Wrocław*, 1996, s. 13-21
- 46 *Tamże*, s. 13
- 47 *Tamże*, s. 19-21
- 48 A. Werblan, „*Dziś*” nr 1/97.
- 49 „*Życie Warszawy* z 30 czerwca 1994
- 50 *Diariusz Sejmowy* z 16 listopada 1994 r.
- 51 *Tamże*
- 52 *Tamże*
- 53 „*Kombatant*” 1997 nr 1, s. 3; stenogram spotkania zorg. przez Klub Parlamentarny SLD, s. 73
- 54 „*Polsee Wierni*” 1997 nr 4, s. 18
- 55 „*Życie*” z 15 lutego 1997, a także z 22 marca 1997
- 56 „*Polsee Wierni*”, 1997 nr 4, s. 19

Głosa do artykułu E. Szyra

W listopadzie ub. r. Eugeniusz Szyr opublikował w "Nowych Horyzontach" interesujący artykuł pt. *Pierwsza dekada (Polska w latach 1945 - 1955)*. Autor - świadek i współuczestnik wydarzeń tego okresu przedstawił w sposób kompetentny problemy, przed jakimi stała wówczas Polska, dokonane zmiany i osiągnięcia, które na trwałe wpisały się w historię naszego kraju.

Nawiązując do tego artykułu, chciałbym dodać, że Polska Ludowa w pierwszych latach powojennych, podejmując odbudowę kraju, musiała jednocześnie rozwiązywać także inne ważne i złożone problemy społeczne. Wśród nich czołowe miejsce zajmowała repatriacja ponad 3 mln swoich obywateli rozrzuconych po całej Europie. Z dzisiejszej perspektywy trudno sobie wprost wyobrazić co w ówczesnych warunkach, przy braku transportu oraz niezbędnych środków materialnych, oznaczało przewiezienie tej olbrzymiej masy ludzkiej, rozmieszczenie i zapewnienie bodaj minimalnych warunków koniecznych do rozpoczęcia życia w kraju. Dodajmy do tego - ludzi sponiewieranych, wygłodzonych, nieraz chorych i kalekich. Jest to jeden z problemów zasługujących na szerszą analizę i przypomnienie. W tym liście pragnę ograniczyć się tylko do danych statystycznych i do pewnych uwag znanych mi z autopsji.

Repatriacja z Zachodu rozpoczęła się żywiłowo zaraz po zakończeniu działań wojennych na danym obszarze. Wg danych Ministerstwa Komunikacji do czerwca 1945 r. powróciło z Zachodu około 800 tys. ludzi. Ze Wschodu w jakiś zorganizowany sposób w 1944 r. powróciło 117212 osób. Dopiero w 1945 r. repatriacja została ujęta w ramy organizacyjne. W tym celu jesienią 1944 r. rząd powołał Państwowy Urząd Repatriacyjny, zwany popularnie PUR.

Oto zestawienie repatriacji w latach 1945 - 1949 (na podstawie *Rocznika statystycznego* GUS 1950, s.22):

Rok	ze Wschodu	z Zachodu
1945	723448	656182
1946	644437	536644
1947	10801	217861
1948	7325	55625
1949	3420	1573
Razem	1389431	1467885

Dane o repatriacji z Zachodu w 1945 r. obejmują tylko drugą połowę roku.

Jeżeli dodać wspomnianą już repatriację ze Wschodu w 1944 r. i z Zachodu do połowy 1945 r., to można przyjąć, że do końca 1949 r. powróciło do Polski ponad 3 mln ludzi.

Oczywiście repatriacja nie została definitywnie zakończona w 1949 r. Ale liczby powracających były później już niewielkie, z wyjątkiem powrotu w drugiej połowie lat 50-tych z ZSRR znacznej jeszcze liczby Polaków. Wybiega to jednak już poza omawiany w tym liście okres.

W pierwszym okresie repatriacja odbywała się w bardzo trudnych warunkach technicznych. Z reguły korzystano z wagonów towarowych, a podróż trwała wiele dni. Tak np. znany mi dobrze transport z Châlons-sur-Marne (Francja) wyruszył 10 listopada 1945 r. i do granicy polskiej w Dziedzicachjechał pełne 7 dni. Nie było za ciepło. Wyżywienie w zasadzie każdy zapewniał sobie sam, a na punktach etapowych można było dostać coś ciepłego. Ale obok dużych były też małe prozaiczne sprawy, dotyczące np. załatwiania potrzeb fizjologicznych. Toteż gdy pociąg zatrzymał się na pierwszej stacji w Czechosłowacji, gdzie zapewne przejeżdżało wiele podobnych transportów, Czeši powitali nas takimi oto słowami: "Witamy braci Polaków. Prosimy nie robić na perony". I dalej podawano stosowne informacje.

Długą podróż starsi ludzie, zwłaszcza kobiety, skracali sobie śpiewaniem pieśni religijnych, jak np. Serdeczna matko i Godzinki; były też pieśni patriotyczne. Młodszym nie brakowało fantazji i humoru. Jednym z zajęć było snucie fantastycznych planów na przyszłość. Wszyscy zaś razem pragnęli, aby jak najszybciej przyjechać na miejsce, być u siebie, wśród swoich, rozpocząć normalne życie. I wreszcie w sobotę 17 listopada o zmroku - Dziedzice. Każdy brał swój skromny dobytek, przechodził przez biuro PUR, otrzymywał zaświadczenie, 500 zł i bilet. Dokąd? Tutaj dla wielu zaczynały się problemy. Tym, którzy nie mieli dokąd, oferowano Ziemie Odzyskane (dla wielu było/ to nowe słowo). Ziemie Odzyskane, o których mimochodem wspominał E. Szyr, to jeszcze jeden problem zasługujący na szerszą analizę i przypomnienie. Potrzebną zwłaszcza dziś, gdy wielu polityków, wspieranych przez znaczną część mediów, nie przestaje klepać komunałów jak to "komuchy niszczyły Polskę".

Repatriacja z Zachodu, obok owych "prozaicznych" aspektów, łączyła się także z wielką polityką. Otóż przedstawiciele rządu londyńskiego i organizacji wrogich Polsce Ludowej nie szczędzili sił i środków aby powstrzymać ludzi od powrotu do kraju. Cała prasa, jaką dysponowano, radio, masowe ulotki wzywały w imię patriotyzmu do "trwania". "Nie ma już prawdziwej Polski, pojedziecie na białe niedźwiedzie" (znam to z autopsji). Cała ta propaganda, jeśli chodzi o wywiezionych na roboty do Niemiec i krajów okupowanych, nie miała większego oddźwięku. Skutki były minimalne. Świadczą o tym dane statystyczne. Otóż wg obliczeń Malcolma J. Proudfoota w pracy *European Refugees 1939 - 1952 A Study in Forced Population Movement*

(London 1957, s. 220) pod koniec wojny w Niemczech i na obszarach przez nie okupowanych przebywało 1593 tys. Polaków, w tym 910 tys. w zachodnich strefach okupacyjnych. Są to wielkości zbliżone do tych, jakie odnotowały polskie urzędy graniczne dotyczące repatriantów z Zachodu. Ludzie wracali po prostu do swego kraju "na dobre i złe" (To słowa wypowiedziane przez A. Słonimskiego, którego po powrocie do Warszawy zapytano, czy powrócił "na dobre"). Podobnie jak inni, urządzali się, wychowywali dzieci, brali udział w odbudowie kraju, którego wg niektórych obecnych polityków w ogóle nie było (była tylko "czarna dziura", albo jeszcze gorzej - "czerwona"). Ci ludzie, którzy wówczas wrócili, mogą być (lub ich dzieci, jeśli oni już nie żyją) dumni ze swej decyzji. A historią, wbrew temu, co głoszą obecnie niektórzy historycy i politycy, im właśnie i wszystkim, którzy nową Polskę budowali, przysługują pewno racje.

Władysław Góralski

Z prasy

Amerykańskie dylematy

W "Financial Times" (3 marca 1997 r.) opublikowany został artykuł Roberta Reicha, ministra pracy w pierwszej administracji Clintona, zatytułowany *Pomyślność w niebezpieczeństwie*. R. Reich jest obecnie profesorem polityki socjalnej i gospodarczej w Heller School of Brandes University¹.

Poglądy R. Reicha, który jako uczony i równocześnie przez cztery lata członek ekipy Clintona miał wgląd w całokształt sytuacji społeczno-ekonomicznej w Stanach Zjednoczonych i kierował polityką administracji w dziedzinie pracy, który jest znawcą amerykańskich ubezpieczeń socjalnych, zasługują na odnotowanie i upowszechnianie, szczególnie wobec całkowitego u nas braku krytycyzmu przy przejmowaniu ich modelu jako panaceum na niedole kapitalistycznej „transformacji”.

Amerykańskie problemy socjalne po latach neoliberalnego triumfalizmu w Europie Zachodniej, a także w zapowiadanych „reformach” tej sfery w krajach „transformujących się”, w tym w Polsce, przybierają na znaczeniu. Stanowią groźne memento dla czekającej nas przyszłości. Socjalny wymiar polityki gospodarczej staje się powszechnie coraz donioślejszy, w sytuacji gdy jest oczywiste, że „niewidzialna ręka rynku” nie jest receptą na wszystko i z pewnością nie jest zdolna do rozwiązania trudnych, z biegiem czasu coraz trudniejszych, problemów społecznych. Nie wszystko także zdolna jest rozwiązać „widoma ręka państwa”, ale jej radykalne ograniczenie, eliminacja (zgodnie z oczekiwaniami ortodoksyjnych wolnorynkowców”) może przyczynić się do wystąpienia tektonicznych wstrząsów społecznych, podważających prawidłowość dominującej obecnie drogi, której narodziny zwiastowało pojawienie się reagonomiki i thatcheryzmu. Krytyka Reicha pokazuje poglądowo, że lansowana u nas „reforma” systemu emerytalnego i ubezpieczeń zdrowotnych na wzór amerykański służy bogactwu, bije w ludzi pracy.

Dlatego też referujemy poniżej podstawowe tezy artykułu Reicha, starając się oddać jak najwierniej jego ducha m.in. przez zachowanie w miarę możliwości jego autentycznej frazeologii.

Wywody Reicha zaczynają się od przypomnienia głośnych, pozytywnych wyników ostatnich czterech lat w amerykańskiej gospodarce (tj. lat pierwszej prezydentury Clintona). Są nimi: przyrost 11 milionów nowych miejsc pracy, stosunkowo niska stopa bezrobocia, brak, jak na razie, objawów przyspieszenia inflacji. Za sukces administracji uważa on ustawowe podnoszenie płacy nominalnej (skorzystało z tego 10 milionów Amerykanów), ulgi podatkowe, w szczególności dla najmniej zarabiających, pewne modyfikacje w systemie emerytalnym i ochrony zdrowia.

Ponieważ, pisze Reich, niektóre kraje zachodnio-europejskie wprowadzające zmiany do systemów ochrony socjalnej i ubezpieczeń społecznych, rozważają przyswojenie pewnych elementów "amerykańskiego modelu", potrzebna jest poważna refleksja nad jego "zagrożeniową stroną". Główne niebezpieczeństwo polega wg Reicha na tym, że **nierówności ekonomiczne wciąż się pogłębiają. Wszystkie szczeble drabiny społecznej są od siebie bardziej oddalone, niż były o generację wstecz - odstępstwa stają się coraz większe.**

Proces ten powoduje kumulację biedy i cierpienia tych, którzy znajdują się na najniższym szczeblu drabiny lub w jego pobliżu, oraz niepewność tych, którzy znajdują się na środkowych szczeblach. Jeśli nie będzie się przeciwdziałać tym zjawiskom, mogą one doprowadzić do podważenia stabilności społeczeństwa i autorytetu czynnika moralnego.

Powiększanie się nierówności dochodów, bogactwa i szans rozpoczęło się ok. 15 lat temu; przepaść dziś istniejąca jest, w pamięci żyjących Amerykanów, większa niż kiedykolwiek. Pewna poprawa w położeniu wielu rodzin dokonała się w ostatnich latach dzięki ekspansji ekonomicznej, która owocowała zwiększeniem liczby zatrudnionych i liczby przepracowanych godzin, a więc zwiększeniem dochodów tych, którzy mieli jakąkolwiek pracę. Poprawiła się także nieco sytuacja emerytów. Jednak nierówności zarobkowe w grupie pracowników zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin w 1996 roku powiększały się nadal. Wspomniana względna poprawa jest zresztą zupełnie marginalna na tle długofalowej, bardzo jasnej tendencji. W 1995 roku 10% najlepiej opłacanych mężczyzn, zatrudnionych w pełnym wymiarze, zarabiał o 4,4 razy więcej niż 10% najgorzej opłacanych. W 1979 r. mnożnik ten wynosił 3,2. W latach 1980-1995 realne płace tygodniowe 10% najlepiej wynagradzanych wzrosły o 3,6%, a 10% najmniej wynagradzanych spadły o 9,6%. W latach 1979-1995, dochody 5% najbogatszych rodzin amerykańskich wzrosły realnie o 26%, pod-

czas gdy dochody 5% najuboższych rodzin spadły o 9%. Dwie piąte rodzin amerykańskich z dolnych szczebli drabiny społecznej ma tylko 15% udziału w całości dochodów. Przytoczone statystyki charakteryzują niedwuznacznie wspomnianą długoterminową tendencję. Niektórzy eksperci, pisze Reich, stwierdzają, że nic nie można zrobić, by zapobiec powiększaniu się nierówności. Uważają oni, że jest to produkt uboczny zmian strukturalnych, dokonujących się w gospodarce amerykańskiej zwłaszcza wskutek postępu technologicznego i globalizacji gospodarki. Na zmianach tych korzystają wysoko kwalifikowani pracownicy, a tracą najslabiej wykształceni i niewykwalifikowani. Tak jest wszędzie i trzeba się do tego przystosować.

Uważam, pisze Reich, że eksperci ci się mylą. Historia Stanów Zjednoczonych i innych krajów dowodzi, że nierówności powiększają albo zmniejszają się w zależności od tego, jakich wyborów strategii dokonują. A narody nie są wyłącznie ekonomicznymi podmiotami - są one również społeczeństwami.

Jeśli jakiś naród decyduje się wystąpić przeciw tendencjom gospodarczym, które powodują głębokie podziały, zawsze może to zrobić. Jeśli tego nie uczyni, pod pozorem, że nie ma swobody wyboru, wówczas ryzykuje, że przestaje być społeczeństwem.

W Ameryce lat mojej młodości, pisze Reich, wzrost był udziałem wszystkich. W latach 1950-1978, dochody realne 20% z wyższych szczebli drabiny podwoiły się, ale podwoiły się także dochody 20% ze szczebli najniższych. Przyjęło się wówczas uważać, że prosperity może być udziałem każdego. Tak rozwiązywano sprawy w ustawach i innych regulacjach prawnych. Taki równomierny wzrost dochodów był moralnie akceptowany. Model społeczeństwa charakterystyczny dla pomyślnych w Ameryce powojennych dekad opiera się na trzech ważnych filarach.

Pierwszym była polityka przedsiębiorstw wobec zatrudnionych przez nie pracowników, opierająca się na zasadzie, że gdy przedsiębiorstwo osiąga dobre rezultaty, to korzyści z tego wnoszą również jego pracownicy, wzrastają ich płace, poprawia się jakość świadczeń przedsiębiorstwa na rzecz ochrony ich zdrowia oraz na zabezpieczenie emerytalne, a miejsca pracy są relatywnie bezpieczne. Na żywotność tego filaru wpływały związki zawodowe, które w połowie lat 50. zrzeszały ok. 35% pracowników sektora prywatnego. Istotnym czynnikiem był pewien modus powszechnych oczekiwań: wpływaliśmy na wzrost i z tego wzrostu mieliśmy realne korzyści. Nie do pomysłenia było

wówczas, by spółka osiągająca zyski mogła nie dzielić się nimi ze swoimi pracownikami.

Drugim filarem były ubezpieczenia społeczne, w systemie których Amerykanie zgodnie lokowali swoje zasoby. Dzięki czemu mógł się czuć bezpiecznie każdy, kogo choroba albo jakieś inne nieszczęście mogło wpędzić w biedę. Wprawdzie amerykański system ubezpieczeń społecznych nie był tak kompletny, jak systemy ukształtowane w większości krajów Europy zachodniej, ale zabezpieczał podstawowe świadczenia: zasiłki dla czasowo bezrobotnych; ubezpieczenia socjalne starszych i inwalidów; opiekę nad osobami w wieku podeszłym i nad bardzo biednymi (systemy Medicare i Medicaid²).

Trzecim filarem była szansa na wykształcenie. Powszechny w latach 50. stan świadomości społecznej wyraził się w postanowieniu Sądu Najwyższego o tym, że każde dziecko, bez względu na pochodzenie, musi mieć zapewnione takie same możliwości zdobycia wykształcenia. Zwiększyła się znacznie proporcja kształcących się powyżej poziomu średniego, a odpowiednia ustawa umożliwiła ponad milionowi weteranów II. wojny światowej kształcenie się w koledżach. Bardzo wielu zyskało możliwość kształcenia się dzięki zwiększeniu się liczby państwowych uniwersytetów i koledżów. Model amerykański nie polegał na redystrybucji bogactwa; wyrażał amerykańskie rozumienie zasady fair-play; był proklamacją społecznej współzależności, solidarności. Był wyrazem przekonania, że gospodarka nie może się rozwijać, jeśli większość pracowników nie będzie miała z tego rozwoju więcej pieniędzy; że nikt nie będzie mógł czuć się zabezpieczonym ekonomicznie, jeśli wszyscy nie połączymy naszych zasobów; że lepiej wykształceni pracownicy, to coś co leży w interesie wszystkich.

Rzucające się w oczy pogłębienie ekonomicznych nierówności, które zaznaczyło się od końca lat 70., jest przypisywane szybkiemu postępowi technologicznemu, globalizacji gospodarki, handlu i rynków finansowych. W ciągu ostatnich 15 lat nastąpiło załamanie się wszystkich filarów amerykańskiego modelu społecznego.

Spółki amerykańskie, których zyski są obecnie wyższe niż w okresie ekspansji w latach 80., powszechnie uprawiają praktykę zmniejszania wydatków. Polega ona w szczególności na minimalizowaniu płac i innych wcześniej rozbudowanych świadczeń pracowniczych. Systemy emerytalne niegdyś zapewniające świadczenia o określonej wyraźnie wysokości, zastępowane są przez

nowe, już bez takiej gwarancji i pozbawione wpływów wnoszonych przez pracodawców.

W tym samym czasie ludzie z najwyższego szczebla menedżerskiego w spółkach oraz ich rodziny otrzymują coraz hojniejsze świadczenia na pokrywanie kosztów leczenia, i niebawem wzrastają odprowadzane na ich rzecz odpisy na fundusz emerytalny, gromadzone na rachunkach zablokowanych aż do chwili odejścia na emeryturę. I chociaż bezpieczeństwo zatrudnienia zmalało również w tej grupie, to - w odróżnieniu od ogromnej większości - gdy tracą oni pracę, lądują na "Złotych spadochronach".

Drugi filar modelu - świadczenia socjalne - również leży w gruzach. To najubożsi i ubodzy ponoszą największe koszty równoważenia budżetu federalnego, największe cięcia są dokonywane w programach świadczeń bezpośrednio ich dotyczących. Wprawdzie prezydent deklaruje, że chce wprowadzić pewne korekty (m.in. odnośnie bonów żywnościowych dla najuboższych i świadczeń dla legalnych emigrantów), ale w Kongresie, w którym ton nadają republikanie, nie znajduje sojusznika. Gdy chodzi o świadczenia dla bezrobotnych, o wiele mniejsza ich część niż przed 20 laty, bo tylko 35% korzysta z zasiłków.

W rzeczywistości zakwestionowana została idea solidarnego gromadzenia zasobów w systemach ubezpieczeń społecznych. Bogatszych namawia się, by z tych systemów wycofywali się i wpłacali na "prywatne medyczne rachunki oszczędnościowe" (zamiast Medicare) lub na "prywatne rachunki ubezpieczeniowe" (zamiast wносить pieniądze do wspólnych społecznych systemów). Ci, którzy to robią, tym samym nie będą już dzielić solidarnie ryzyka z tymi, którzy z uwagi na swoje położenie materialne w o wiele większym stopniu narażeni są na choroby i na biedę. Ci ostatni będą ponadto ponosić wyższe koszty funkcjonowania systemów, z których bogatsi wycofają swoje wkłady.

Załamuje się także trzeci filar - dostęp do wykształcenia. Administracja Clintona starała się na poziomie federalnym poprawić położenie: więcej studentów pochodzących z ubogich rodzin otrzymuje stypendia w większej liczbie koledżów. Mają oni także dostęp do nisko oprocentowanych kredytów na naukę w koledżach albo na naukę zawodu. Proponowane są ulgi podatkowe i odpisy dla zmniejszenia kosztów nauki.

Jednakże łatwo zauważyć potężne przeciwstawne prądy. Prawie połowa każdego dolara wydawanego na kształcenie młodzieży w wieku od 5 do 18 lat pochodzi z lokalnych podatków majątkowych. Tymczasem, Amerykanie

w coraz większym stopniu osiedlają się wg kryterium majątkowego: w poszczególnych osiedlach i kwartałach miast ugruntowuje się segregacja majątkowa. W rezultacie w społecznościach uboższych wpływy z lokalnych podatków nie wystarczają na zapewnienie finansowania szkolnictwa na poziomie, który - z uwagi na znacznie wyższe wpływy z tych podatków - będzie mógł być zapewniony w dzielnicach i kwartałach zasobniejszych. W majestacie prawa nielegalna segregacja rasowa faktycznie istnieje, stała się normą w wielu metropoliach.

Jak Ameryka długa i szeroka, finansowane przez państwo szkolnictwo wyższe topnieje pod wpływem radykalnych ograniczeń budżetowych, a koszt kształcenia na tym poziomie wzrastał w ostatnich latach trzykrotnie szybciej niż średnie statystyczne dochody rodziny. Szansa na kształcenie się w koledżach młodzieży pochodzącej z warstwy 25% osiągających najwyższe dochody jest trzykrotnie większa niż szansa wywodzącej się z warstwy 25% o najniższych dochodach.

Dlaczego amerykański model społeczny tak szybko rozsypuje się? Być może dlatego, że Amerykanie nie stają już twarzą w twarz z wszystkimi niebezpieczeństwami Wielkiej Depresji, gorącej a potem zimnej wojny, być może nie łączy już ich dziś poczucie solidarnej współzależności. Być może dlatego także, że dziś więcej niż kiedykolwiek wiedzą o swojej prawdopodobnej przyszłości i wiedzą, że na model dotychczasowy musieli więcej świadczyć i że świadczenia te, jak myślą, przewyższają korzyści, które mogliby z nich wynieść.

Ameryka dnia dzisiejszego szczyci się - całkiem sprawiedliwie - odzyskanym wigorem gospodarczym i mniejszym deficytem. Jednakże ta sama Ameryka musi mieć świadomość coraz większych niebezpieczeństw związanych z pogłębianiem się nierówności. Zagrożają one każdemu społeczeństwu.

Współczesne tendencje rozwoju technologicznego i globalizacji nie są odwracalne i nie należy dążyć do ich odwrócenia. Ale nie wolno ślepo akceptować ich społecznych następstw. Nie wolno równoważyć budżetu w taki sposób, by najubożsi nieśli największe ciężary i maksimum poświęceń. Nie wolno reformować Medicare i systemu ubezpieczeń społecznych w taki sposób, aby najbogatsi byli zachęceni do wycofywania i wycofywali swój do nich wkład finansowy. Odwrotnie, bogatsi muszą uczestniczyć w proporcjonalnie większym stopniu w przywróceniu zagrożonej płynności finansowej obu systemów. Dobre szkoły, uniwersytety i instytucje kształcenia ustawicznego muszą być dostępne dla wszystkich.

Ameryka nie może uciec od naczelnej kwestii moralnej, która jest zarazem kwestią polityczną. To samo pytanie stoi przed wieloma społeczeństwami. Czy łączy nas jeszcze więź ludzkiej solidarności?

Opracował StK.

Przypisy

1 Robert Reich: *The menace to prosperity*, "Financial Times" z 3 marca 1997 r., s. 18

2 Medicaid i Medicare - amerykańskie systemy ubezpieczeń zdrowotnych.

Jan Garot

Bezrobocie w rozwiniętych krajach kapitalistycznych

Jednym ze zjawisk, towarzyszących systemowi kapitalistycznemu od zarania jego istnienia, jest chroniczne bezrobocie. Liczba ludzi pozostających bez pracy ulegała oczywiście w różnych okresach zmianom w zależności od koniunktury i sytuacji w poszczególnych krajach i w świecie. Pewien wpływ na ograniczenie tego zjawiska wywierała walka klasy robotniczej, wspierana także przez inne siły społeczne, a po II. wojnie światowej również przez powstanie w Europie państw, określanych mianem "realnego socjalizmu", w których bezrobocie jako zjawisko społeczne zostało zlikwidowane.¹

Pełne przedstawienie problemów bezrobocia wymagałoby szerokiej analizy, uwzględniającej jego różne aspekty teoretyczne, ekonomiczne, socjologiczne i inne. Ze względu na brak miejsca w artykule tym ograniczę się tylko do danych ilościowych oraz pewnych wysiłków podejmowanych przez różne instytucje, mające w swych intencjach ograniczenie tego zjawiska. Od przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych jesteśmy ponownie świadkami znacznego wzrostu bezrobocia. W krajach należących do Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) liczba ludzi, pozostających bez pracy zwiększyła się z 24,7 mln w 1990 r. do 36 mln w 1995 r.² Obok przedstawione są dane statystyczne dotyczące bezrobocia w 14 najważniejszych krajach należących do tej organizacji. (p. tabela)

Ten wzrost bezrobocia - należy podkreślić - nie jest wynikiem jakichś niekorzystnych procesów demograficznych. Wprost przeciwnie. Niektóre z nich powinny były nawet sprzyjać ograniczeniu bezrobocia. Tak np. większość z tych krajów już od dłuższego czasu ma bardzo niski przyrost naturalny ludności. W latach 1990 - 1994 przekraczał on 1% tylko w Kanadzie (24‰, w Stanach Zjednoczonych (11‰) i w Australii (10‰). W dziewięciu krajach kształtował się on w granicach 1 - 7‰ a w dwóch był ujemny. Również wzrost liczebności siły roboczej kształtował się na niskim poziomie. W latach 1991 - 1995 w całym OECD mieścił się w granicach 0,6 - 0,9% rocznie, a w kilku krajach był w niektórych latach nawet ujemny.⁴

	1990		1994		1995	
Kraj	Bezrobot w tys.	% siły roboczej	Bezrobot w tys.	% siły roboczej	Bezrobot w tys.	% siły roboczej
Australia	584	6,9	855	9,8	766	8,5
Belgia	285	7,2	405	9,7	596	14,0
Dania	271	7,7	343	12,2	288	10,3
Francja	2204	8,9	3104	12,5	2956	11,6
Hiszpania	2441	16,3	3738	24,2	3586	22,9
Holandia	516	7,6	492	6,8	523	7,1
Japonia	1340	2,1	1660	2,5	2100	3,2
Kanada	1164	8,1	1541	10,4	1422	9,5
Niemcy	2983	7,0	2691	8,4	3611	10,4
Norwegia	112	5,2	116	6,4	107	4,9
Stany Zjedn	6874	5,5	7996	6,2	7404	5,6
Szwecja	75	1,6	340	8,0	333	7,7
W. Brytania	1664	5,9	2929	10,4	2384	8,5
Włochy	2621	10,3	2678	11,3	2724	12,0

[Źródło: *ILO Yearbook*, Genewa, 1965, s. 420 - 433; 1996, s. 393 - 405.

Dane dla całych Niemiec za 1990 r. - GUS, *Rocznik statystyczny 1996*, s. 589]

Przedstawione dane wskazują, że na 14 wymienionych krajów odsetek bezrobotnych w całości siły roboczej w 1995 r. w stosunku do 1990 r. zmniejszył się, i to minimalnie, tylko w Holandii o 0,5 punktu procentowego i w Norwegii o 0,3. W pozostałych - wzrósł, chociaż w różnym stopniu: najbardziej w Hiszpanii o 6,6 punktu procentowego, w Szwecji o 6,1, w Niemczech o 3,4, we Francji o 2,7, w Wielkiej Brytanii o 2,6, we Włoszech o 1,7, w Australii o 1,6 i w Japonii o 1,1.³

I na jeden jeszcze element warto zwrócić uwagę. Kilka spośród krajów, o których mowa, nazywane bywają potocznie starymi, ustabilizowanymi demokracjami i stawia się je za przykład państwom Europy Wschodniej i innym. Żaden, nawet najgorliwszy oszołom, nie może powiedzieć, że ich gospodarkę zniszczyły "wstrętne komuchy", bo nigdzie nie sprawowały tam władzy. Nie mogły też doprowadzić do przerostów zatrudnienia ani zdemoralizować pracowitych Francuzów, Niemców lub Brytyjczyków, którym teraz nie chce się pracować.

* * *

Bezrobocie w krajach kapitalistycznych jest naturalnym, tj. właściwym temu ustrojowi zjawiskiem. Ale jego wzrost w latach dziewięćdziesiątych doprowadził do powstania poważnych problemów społeczno - politycznych. Niewidzialna ręka rynku, która z takim powodzeniem "produkuje" bezrobotnych, okazała się bezradna jeśli chodzi o generowanie nowych miejsc pracy. Toteż od kilku już lat rządy poszczególnych krajów, mając na uwadze spokój społeczny, formułują różne programy, zmierzające w swych intencjach do zwiększenia liczby miejsc pracy. Sprawy bezrobocia stały się przedmiotem rozgrywek politycznych. Partie polityczne lub ich przywódcy, chcąc utrzymać się przy władzy lub ją zdobyć, obiecują wyborcom rozwiązanie problemu bezrobocia, zapominając po wyborach o swych obietnicach. Bezrobocie w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych stało się również przedmiotem wielokrotnych obrad Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP), OECD oraz kolejnych szczytów G-7.⁵

Dużo uwagi poświęcił temu zagadnieniu szczyt G-7, obradujący w Tokio w lipcu 1993 r. W deklaracji końcowej, w poświęconej gospodarce światowej części stwierdzono m.in.: *"Jesteśmy szczególnie zaniepokojeni poziomem bezrobocia. W naszych krajach ponad 23 mln ludzi pozostaje bez pracy; jest to nie do zaakceptowania. Większość niedawnego wzrostu bezrobocia jest wynikiem spowolnienia rozwoju gospodarczego, ale znaczna część jego obecnego poziomu ma charakter strukturalny. W związku z tym redukcja bezro-*

bocia wymaga podwójnej strategii: ostrożnej makroekonomicznej polityki, mającej na celu nieinflacyjny, stały wzrost gospodarczy, oraz reform strukturalnych, zmierzających do zwiększenia efektywności rynku pracy". Po dokonaniu bardziej szczegółowej analizy sytuacji ekonomicznej w Europie Zachodniej, Ameryce Północnej i Japonii, przywódcy G-7 postanowili zwołać naradę ministrów finansów celem opracowania odpowiednich wniosków. Sformułowano też dla nich szczegółowe zalecenia, ujęte w ośmiu punktach, wśród których znalazło się m.in. wspomniane wyżej zwiększenie efektywności rynku pracy, poprawa oświaty i szkolenia zawodowego, utrzymanie i poprawa wielostronnego handlu, oszczędność i inwestycje, redukcja subsydiów, ekonomiczne skutki starzenia się ludności, "kontrola" opieki lekarskiej.⁶

Zapowiadana konferencja odbyła się w Detroit (USA) w marcu 1994 r. Wzięło w niej udział 24 ministrów pracy, finansów i handlu oraz przedstawiciele Unii Europejskiej. Podczas dwudniowych dyskusji padło wiele oczywistych stwierdzeń i propozycji. Brakowało tylko konkretów - co należy zrobić w praktyce, aby zwiększyć zatrudnienie. Przykładem może być fragment uzgodnionego przemówienia końcowego sekretarza d/s finansów Stanów Zjednoczonych, M. Bentsona, dotyczący kształcenia i rynku pracy. W naszej dyskusji - powiedział Bentson - byliśmy zgodni, że polityka makro i mikroekonomiczna może się wzajemnie uzupełniać. *"Reformy strukturalne programów społecznych, dotyczących zatrudnienia, dadzą dobre rezultaty, jeśli będą powiązane z polityką makroekonomiczną, wspierającą wzrost gospodarczy. Ale choćbyśmy przygotowali jak najlepszych wysokokwalifikowanych pracowników, to nie przyniesie to żadnych korzyści, jeśli nie stworzymy odpowiedniego klimatu, w którym przedsiębiorstwa dałyby im zatrudnienie. Jest więc oczywiste, że powinniśmy zachęcać małe i średnie przedsiębiorstwa, aby wykorzystały swój potencjał dla tworzenia nowych miejsc pracy"*.⁷ Powstaje od razu pytanie, na czym ma polegać tworzenie takiego klimatu i dlaczego tylko w małych i średnich przedsiębiorstwach?

Do spraw bezrobocia powrócił kolejny szczyt G-7 w czerwcu 1994 r. w Neapolu. W sprawach gospodarczych w punkcie pierwszym znalazło się trochę optymizmu. Wskazano, że od roku wielu ludzi podjęło pracę, spadła inflacja, nastąpiło ożywienie gospodarki (co mogło być prawdą tylko w odniesieniu do niektórych krajów - J. G.). Ale już w punkcie drugim znalazła się prawdziwa łyżka dziegciu. Czytamy w nim: *"Bezrobocie pozostaje nadal wysokie i liczy ponad 24 mln w naszych krajach (w poprzednim roku było 23 mln - J. G.). Jest to nie do przyjęcia. W szczególności przynosi ono dotkliwe szkody, jak to ma*

*miejsce w wielu krajach, gdzie koncentruje się wśród młodzieży oraz ludzi, którzy pozostają bez pracy od długiego czasu”.*⁸

Następny szczyt G-7 w Halifax (Kanada) w czerwcu 1995 r. ponownie wyraził zdecydowaną potrzebę “promocji trwałego zatrudnienia”. Z inicjatywy prezydenta Francji postanowiono też zwołać kolejną konferencję ministrów pracy, finansów i handlu, celem dokonania przeglądu w dziedzinie “tworzenia nowych miejsc pracy i zmniejszania bezrobocia”. Konferencja to odbyła się na początku kwietnia 1996 r. w Lille (Francja) i miała podobny przebieg jak poprzednia w Detroit. Godzi się zauważyć, że na żadną z nich nie zaproszono przedstawicieli ludzi najbardziej zainteresowanych likwidacją bezrobocia, a mianowicie delegacji związków zawodowych. Jak na rządy, które tyle mówią o prawach człowieka, w tym o prawie do pracy, wydaje się to co najmniej dziwne.

Wszystkie wspomniane konferencje, deklaracje i decyzje miały w znacznej mierze charakter propagandowy. Chodziło o wykazanie, że rządy zainteresowanych krajów przywiązują duże znaczenie do walki z bezrobociem. Natomiast praktyczne skutki tych działań były niewielkie, zwłaszcza w Europie. Jak wynika z zestawień statystycznych, odsetek bezrobotnych w 1995 r. zmniejszył się w stosunku do 1990 r. tylko w dwóch krajach i to o ułamek punktu procentowego. W liczbach absolutnych zatrudnienie w latach 1990 - 1995 w Stanach Zjednoczonych i pięciu innych krajach OECD wzrosło, ale w ośmiu spadło, i to znacznie - głównie w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i Francji.⁹

Główną przyczyną nikłych rezultatów w walce z bezrobociem jest stanowisko rządów zainteresowanych krajów w sprawie pokrycia kosztów generowania nowych miejsc pracy. Jak przysłało na przedstawicieli państw kapitalistycznych, są one zdania, że koszty te powinni pokryć przede wszystkim pracownicy najemni. Oczywiście, nie mówi się tego wprost, ale stanowisko takie zawarte jest w wysuwanych propozycjach. Obejmują one w szczególności: obniżenie kosztów pracy, elastyczność zatrudnienia (co w praktyce oznacza pracę okresową lub w niepełnym wymiarze czasu), usunięcie “niepotrzebnych regulacji”, w tym ustawowego minimum płacy, zmniejszenie obowiązkowych składek ubezpieczeniowych, reformę postanowień dotyczących bezpieczeństwa pracy, wreszcie zmniejszenie wydatków budżetowych na takie cele socjalne, jak ochrona zdrowia, oświata i in.

Realizacja tych propozycji nie jest, oczywiście, łatwa. Próba wcielenia w życie niektórych z nich we Francji i w innych krajach doprowadziła do strajków i gwałtownych demonstracji. Niestety, kończyły się one przeważnie kompromisem, co w praktyce oznaczało, że przynajmniej część swych zamierzeń odnośnie rządy mogą wprowadzić w życie. Walka w tej dziedzinie nie jest, oczywiście, zakończona. Wskazuje na to m.in. wielka demonstracja w Rzymie 22 marca br., w której uczestniczyło ok. 400 tys. ludzi. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone prowadzą politykę utrzymania płac na niskim poziomie (wg tamtejszych standardów), aby dać możliwość zatrudnienia większej liczby pracowników (w St. Zjednoczonych znane są wypadki "dobrowolnej" zgody robotników na obniżkę płac, aby uniknąć zwolnienia z pracy). We Francji, a także w innych krajach szeroko już jest rozpowszechnione zatrudnienie okresowe i w niepełnym wymiarze czasu. Oczywiście, taka forma zatrudnienia nie ma w sobie nic złego, jeśli odpowiada zainteresowanym pracownikom, np. kobietom wychowującym dzieci. Gorzej jest, gdy staje się normą. We Francji np. w 1996 r. zatrudnienie w niepełnym wymiarze czasu obejmowało 16% pracowników najemnych. Wśród kobiet było ono znacznie wyższe - wynosiło 29,4%. Taka forma zatrudnienia, jak i cała sytuacja, budzi oczywiście niezadowolone i rozgoryczone ludzi pracy najemnej. Dała temu m.in. wyraz partia komunistyczna w swym programie, przyjętym w grudniu 1996 r., stwierdzając: "Bezrobocie obejmuje już co czwartą rodzinę. Prowadzi to coraz szybciej do zubożenia (tych rodzin - J. G.), izolacji i degradacji społecznej. Rozszerzające się szybko narzucone zatrudnienie okresowe i w niepełnym wymiarze czasu (któremu towarzyszy zmniejszenie płac - J. G.) oznacza życie tymczasowe i częściowe, które ma tendencję stania się normą".

Innym dramatycznym zjawiskiem jest bezrobocie wśród młodzieży, które wykazuje tendencję rosnącą. Wg danych OECD odsetek bezrobotnej młodzieży w wieku 15 do 24 lat w okresie 1990 - 1992 wzrósł w Stanach Zjednoczonych z 10,7 do 13,7%, w Wielkiej Brytanii - z 10 do 15,5%, we Włoszech - z 31,5 do 32,7%, w Hiszpanii - z 32,3 do 34,4%, we Francji - z 19,1 do 20,8%. Wobec braku oficjalnych danych za ostatnie lata, pragnę tylko dodać, że podczas wielotysięcznej demonstracji studentów, rodziców i nauczycieli w Paryżu 23 marca 1997 r. wskazywano, iż co czwarty Francuz poniżej 25 roku życia pozostaje bez pracy.

Obecnie wysokie bezrobocie w rozwiniętych krajach kapitalistycznych jest zjawiskiem, które z niewielkimi odchyleniami utrzyma się zapewne jeszcze przez dłuższy czas. Rządy bowiem zainteresowanych krajów nie są skłonne

wyjsć poza dotychczasową politykę i sięgnąć po środki tam, gdzie one się rzeczywiście znajdują, tj. u kapitalistów, aby zwiększyć radykalnie zatrudnienie. Chyba że doszłoby do gwałtownych wstrząsów społecznych. Ale w niedalekiej przyszłości jest to mało prawdopodobne.

Aktualne prognozy OECD przewidują, że liczba bezrobotnych w okresie najbliższych 2 lat zmniejszy się o 0,6 mln (z 36,1 do 35,5 mln), a ich odsetek spadnie z 7,8 w 1995 r. do 7,5 w 1998 r. Potwierdza to raz jeszcze znany od dawna fakt, że system kapitalistyczny nie jest w stanie rozwiązać podstawowych problemów społecznych, że spycha miliony ludzi na margines życia, pozbawiając ich normalnych możliwości egzystencji i rozwoju.

Przypisy

¹ Krytycy tego ustroju twierdzą, że istniało w nim ukryte bezrobocie. Nie przecząc, że w niektórych dziedzinach, zwłaszcza w końcowej fazie istnienia państw "realnego socjalizmu", występowały przerosty w zatrudnieniu, trzeba jednak podkreślić, że jego rozmiary nie miały nic wspólnego z bezrobociem, jakie zafundował Polsce kapitalizm w latach 90-tych. Około 3 mln bezrobotnych - to nie rezultat racjonalizacji zatrudnienia, lecz barbarzyńskiego niszczenia z ideologicznych i politycznych pobudek wielu przedsiębiorstw i całych gałęzi gospodarki, jak np. likwidacja PGR i wysłanie setek tysięcy ludzi "na zieloną trawkę". Po dziś dzień województwa olsztyńskie, koszalińskie i szczecińskie są "zagłębiami" największego bezrobocia w Polsce (Szerszą analizę tego zagadnienia - zob. m. in. w: Jan Główny, *Kapitalizm po polsku*, Warszawa 1966, s. 59 - 66).

² OECD. *Economic Outlook*, Paris 1996, December, s. A-26.

³ Mimo pewnego wzrostu bezrobocia w Japonii w latach dziewięćdziesiątych, utrzymuje się ono na najniższym poziomie ze wszystkich wysoko rozwiniętych krajów kapitalistycznych. Wg opinii niektórych znawców tego problemu, jest to rezultat tzw. "dożywotniego" zatrudnienia i szeroko utrzymywanego paternalizmu. Tym niemniej można założyć, że 2,1 mln bezrobotnych w 1995 r. na pewno nie należało do najbardziej szczęśliwych ludzi w Japonii.

⁴ Źródło: przyrost naturalny - UN *Demographic Yearbook* 1994, New York 1996, s. 127 - 130; niezbędność siły roboczej - OECD. *Economic Outlook*, 1996 Paris, December, s. A-21.

⁵ Grupa G-7, w skład której wchodzi Francja, Japonia, Kanada, Niemcy, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Włochy, od 1981 roku corocznie odbywa spotkania swych przywódców.

⁶ US Department of State Dispatch, vol 4, nr 3, August 1993, s. 4.

7 Documents d'Actualité Internationale, Paris 1994, nr 10, s. 235 - 236. W czerwcu 1994 r. w Paryżu odbyła się ministerialna sesja OECD. Opublikowano na niej przygotowywane przez 2 lata studium pt. The OECD Jobs Study. Jedno z jego stwierdzeń uznać można wprost za epokowe. Czytamy w nim m.in., że rosnące bezrobocie w krajach OECD stanowi "olbrzymie marnotrawstwo zasobów ludzkich" (cyt. za Keesing's Record of World Events, 1994 r., s. 40082).

8 US Department of State Dispatch, vol. 5, nr 6, July 1944,

9 ILO Yearbook, 1996 Genewa, s. 75-84.; OECD Economic Outlook. cyt. zeszyt, s. A

10 Propozycje tego typu zawarte są m.in. w cytowanym już Jobs Study OECD, w komunikacie szczytu G-7 z 1995 r. (US Department of State Dispatch, 1995, vol. 6, nr 4, s. 5 - 6), w podsumowaniu konferencji w Lille (Documents d'Actualité Internationale, 1996, nr 10, s. 370 - 371) oraz w komentarzu "Le Monde" z 2 kwietnia 1996 r., s. 3

11 Documentation Française. Problèmes Politiques et Sociaux, Paris 1997, nr 780 - 781, s. 46.

12 "Cahiers du Communisme", 1997, nr 1 - 2, s. 311.

13 Doc. Française. Problèmes Politiques et Sociaux, 1995, nr 748, s. 55.

14 "Trybuna" z 23 -24 marca 1997 r.; "Le Monde" z 25 marca 1997 r., s. 10.

15 OECD. Economic Outlook, cyt. zeszyt s. A-24 i A-26.

Dyskusje

Jarosław Ładosz

W sprawie “Sprawiedliwości społecznej”

Prof. Jan Dziewulski przeprowadził ciekawą i trafną analizę historycznej i aktualnej treści idei *sprawiedliwości społecznej*¹. Wykazał, że dominują w niej ekonomiczne wątki: krytyki kapitalistycznego wyzysku, wyrzucia ludzi pracy najemnej z ludzkich praw, pozbawiania ich bezpieczeństwa socjalnego. Idea sprawiedliwości społecznej ukształtowała się w łonie różnorodnych ruchów socjalistycznych i socjalistycznej literatury, stała się sztandarem rewolucyjnego ruchu robotniczego, socjalizmów utopijnych, feudalnych, burżuazyjnych. Przewodziła duchowo politycznym walkom o prawa socjalne, o społeczną gospodarkę rynkową, o socjalizm. Dzisiaj jest nadal w wielu krajach hasłem naczelnym ruchów przeciwko “dzikiemu” kapitalizmowi odradzanemu przez liberałów i neokonserwatystów.

Dla Dziewulskiego te konstatacje stanowią rację opowiedzenia się w obronie sformułowania zawartego w art. 2 konstytucji IV RP przyjętej w kwietniu przez Zgromadzenie Narodowe: “RP jest demokratycznym państwem prawnym, **urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej**” - w obronie przed liberałami, którzy postulowali eliminację podkreślonej części i takie żądanie uczynili jednym z haseł rozpoczynanej kampanii wyborczej. Aby uwypuklić wagę powyższego sformułowania dla obrony nabytych w Polsce Ludowej praw socjalnych, Dziewulski przypomina, że zostało ono zaczerpnięte z Konstytucji PRL z 1952 r.²

Wszystko to jest abstrakcyjnie słuszne. Jednakże zapowiedziany bój w kampanii wyborczej o ten zapis już się nie sprawdza. Liberałowie pozostają wprawdzie teoretycznie jego przeciwnikami, ale dają temu wyraz bardzo cieniem głosem, albowiem już zawarli “kompromis”. Konkretnie więc nie bardzo jest czego przed nimi bronić. Nic dziwnego - wszak w Konstytucji to sformułowanie nie występuje w izolacji, lecz w całościowym kontekście wynegocjowanego dokumentu. Obok art. 2 mamy w nim m. in. nowatorski art. 8, ust 2, który postanawia: “Przepisy Konstytucji stosuje się bezpośrednio, chyba że Konstytucja stanowi inaczej”. A więc - znów biorąc abstrakcyjnie - niby to i ów art. 2

ma być “stosowany bezpośrednio”, co wydaje się wzmacniać jego moc, jego egzekwowanie! Jednakże liberałowie zabezpieczyli się już gruntownie przed jego antykapitalistyczną interpretacją, przeciwko słusznej historycznie interpretacji Dziewulskiego. Nie tylko odcięli go od likwidowania wyzysku. To banalne i nie musieli tu zabiegać o kompromis. Uzyskali znacznie więcej - wprowadzili do całego działu Konstytucji, zatytułowanego “Wolności i prawa ekonomiczne, socjalne i kulturalne” sankcję dla dokonywanego już i dla kontynuowanego energicznie dalszego okrawania tych praw, które formalnie mają dziś jeszcze moc obowiązującą z racji zachowanych przepisów socjalnych Konstytucji PRL. Mało tego - zawarowali sobie odrębnym przepisem art. 81 nowej Konstytucji (a także art. 67 i 68, ust. 2), że **podstawowych praw i wolności w tym dziale zapisanych nie stosuje się bezpośrednio!** Nie można więc nawet tych okrojonych praw windykować posługując się art. 2 o sprawiedliwości społecznej!!! Tymczasem te właśnie prawa stanowią jej jądro. Cała operacja jest w tekście zakamuflowana. Na pozór zapis art. 88: “chyba że Konstytucja stanowi inaczej” jest pusty. W całym tekście przyjętej Konstytucji nie uświadczysz formuły” “artykuł X, zgodnie z art. 8, wyłącza się z bezpośredniego stosowania”. Napisano chytrze i wstydliwie: “Praw określonych [tu następuje wyliczenie siedmiu spośród trzynastu artykułów wspomnianego działu] można dochodzić w granicach określonych w ustawie”. Tak oto wyrwano w Konstytucji “sprawiedliwości społecznej” ekonomiczne zęby. Czemu więc o taką sprawiedliwość mieliby kopie kruszyć nasi liberałowie i neokonserwatyści?

Mamy, oczywiście, nadal do czynienia, i mieć będziemy, ze zmasowaną kampanią zacierania teoretycznej i historycznej treści kategorii “sprawiedliwość społeczna” w literaturze i propagandzie prawniczej, historycznej, socjologicznej, z “długodystansowym” robieniem narodowi wody z mózgu. Dziewulski wspomniał, iż w przedkonstytucyjnej dyskusji pierwszy podjął obronę “sprawiedliwości społecznej” Kołakowski. Poniekąd tak było, lecz jakże osobliwa to obrona. Kołakowski bowiem ogłosił, że sprawiedliwość społeczna jest pojęciem mętnym i wieloznacznym, podobnie jak pojęcie np. godności człowieka. Uznał jednak, że da się w tej mętności wydobyć sensownie dominujący w nich i nie do pogardzenia wątek moralny; że natomiast nie mają one żadnej wyrażnie określonej treści ekonomicznej. Tu panować ma pełna dowolność, a instytucjonalizowanie tych kategorii (tj. czynienie z nich kategorii prawa pozytywnego) jest szkodliwe. Sprawiedliwość społeczna sprowadza się do niezinstytucjonalizowanego obowiązku moralnego filantropii - i tyle. Ekonomicznie może być wszystkim, co kto zechce - równoprawnie. Kołakowski wręcz utrzymuje,

że uprawnione jest traktowanie jako społecznie sprawiedliwego postulatu Mil-
tona Friedmana, by zakazać stosowania progresywnego podatku dochodowe-
go (choć równie uprawnione jest uznanie postulatu przeciwnego). W środkach
masowego przekazu bywają upowszechniane dziś poglądy jeszcze "bardziej
radykałne". Korwin Mikke, gwiazdor telewizji, głosi, że sprawiedliwość spo-
łeczną narusza nawet podatek o stałej stopie, bez progresji, a jedynie podatek
"pogłówny" o jednakiej dla każdego kwocie jest jej prawdziwym uosobieniem.

Jeszcze nie weszła w życie nowa Konstytucja, jeszcze naród może ją
odrzuć, a już miesiącami nad obowiązującym zapisem starej, PRL-owskiej
pastwi się raz po raz Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i NSA. To ulu-
biony zapis tych gron. "Stosując go bezpośrednio" upominają się o reprywa-
tyzację, o stabilność podatków i o nienaruszalność ulg podatkowych dla kapi-
talistów; kasują ustawę o zabezpieczeniu władania ogródkami działkowymi przez
miliony ludzi pracy itd. itp. A to tylko preludium, bowiem po wejściu w życie
nowej konstytucji oczekuje nas prawdziwy koncert stosowania bezpośrednio
art. 2 przez sądy wszystkich instancji in concreto: w obronie praw właścicieli
nieruchomości sprzed stuleci, w obronie "klasy średniej" - rzekomego nowego
nosiciela i gwaranta owej sprawiedliwości.

Nie warto więc, moim zdaniem, kruszyć kopii o obecność art. 2 i podob-
nych "ideologicznych" zapisów w Konstytucji, które sankcjonują ogólne hu-
manistyczne "wartości" o wielorakiej historycznej i aktualnej wykładni
w interesie różnych klas i ich odłamów. W konkretnej konstelacji mogą one,
paradoksalnie, być wymierzone przeciw tradycji, którą reprezentują. Bronić zaś
warto art. 8, który ma szansę stać się skromnym, lecz wartościowym narzę-
dziem w rękach ludzi pracy. Warto postulować eliminację ograniczeń nakłada-
nych przez art. 81 oraz przywrócenie w dziale praw ekonomicznych i społecznych
nieokrojonych zdobyczy okresu Polski Ludowej. A długofalowo - pracować
nad przywróceniem "sprawiedliwości społecznej" jej tradycyjnie rewolucyj-
nych treści i nad doprowadzeniem tych treści do świadomości nowych poko-
leń, które w zmasowanym działaniu oświaty i propagandy chce się dziś z niej
gruntownie wypręparować.

Przypisy

1 *Sprawiedliwość społeczna jako przedmiot sporu*. "Nowe Horyzonty, listopad 1996

2 Jest to skądinąd nie całkiem ścisłe. Nie było w tamtej konstytucji takiego zapisu. Został on dodany
przez nowelę z początku 1976 roku i umieszczony w art. 5 w takim oto kontekście: PRL... "urzędy i organa
państwa sprawiedliwości społecznej, likwiduje wyzysk człowieka przez człowieka i przeciwdziałają naruszaniu
zasad współżycia społecznego".

DR3A397

Cichy Wrzodak

Michał Cichy w Stronniczym przeglądzie prasy w "Gazecie Wyborczej" nr 40/97, zechciał zauważyć nasze pismo. Nie spodobało mu się, że Jarosław Ładosz i Marian Doborski zaprezentowali w nim odmienny od oficjalnego pogląd w sprawie naszego udziału w NATO. Stąd Nowe Horyzonty w oczach M. Cichego są "pismem betonowym" i stanowią dowód, że *"są tacy czerwoni, którzy śmiało mogliby pod rękę z Wrzodakiem i Macierewiczem demonstrować przeciwko NATO pod Sejmem."*

Cichemu, który tak łatwo operuje epitetami w stylu: "betonowe pismo", chciałoby się powiedzieć, że w polityce używa się również określenia "bagnó". Tylko, czy takie wzajemne obrzucanie się epitetami wyjaśni cokolwiek?

Udział Polski w NATO jest sprawą poważną o daleko idących konsekwencjach, zagłuszanie opinii krytycznych nie sprzyja poważnej dyskusji w tej sprawie. Chyba, że rzeczową dyskusję chce się zastąpić kampanią reklamową, na wzór promocji proszków do prania.

Czy na przykład przedstawione przez amerykańskiego senatora J. R. Bidena "warunki" przyjęcia Polski do NATO nie budzą żadnych obaw M. Cichego? Czy jest pewien, że te rzekomo 90% Polaków popierających udział Polski w NATO bezkrytycznie akceptuje owe "warunki"?

M. Cichy nie ogranicza się tylko do dyskredytowania inaczej, niż on myślących, ale nie gardzi insynuacją. Píše on: *"Po ostatnich rewelacjach min. Świątkowskiego w "Rzeczpospolitej" o rosyjskiej agencji wpływu, która poprzez swoje usytuowanie w strukturach życia gospodarczego i politycznego może stwarzać klimat sprzyjający myśleniu alternatywnemu do członkostwa NATO, (...) bardzo bym sobie cenił większą jasność w tych kwestiach."*

No i jest jasność: "betonowe pismo", "czerwoni" to oczywiście i "rosyjscy agenci wpływów", wszystko układa się w "logiczną" całość.

Cóż można na to powiedzieć? Chyba tylko tyle, że redaktor Michał Cichy zapewne poglądów Zygmunta Wrzodaka nie podziela, ale jego metody są mu bardzo bliskie.

Józef Zeten

P.S. Jak wynika ze stopki redakcyjnej "Gazety Wyborczej", redaktor M. Cichy jest kierownikiem działu kulturalnego pisma...

Spis treści

Nad Konstytucja

Jarosław Ładosz

KONSTYTUCJA OGRANICZONEJ SUWERENNO-
ŚCI 3

J. Szadoł

NIEPODLEGŁE SĄDOWNICTWO PONAD I NAD
NARODEM 11

LIST PROFESORÓW W SPRAWIE
ARTYKUŁU 13. KONSTYTUCJI 23

Polska a Unia Europejska

Andrzej M. Zawisłak

DROGI I BEZDROŻA INTEGRACJI 25

Z archiwum Polski Ludowej

Ryszard Nazarewicz

WOKÓŁ KWESTII WOJNY DOMOWEJ 37

Władysław Góralski

GŁOSA DO ARTYKUŁU E. SZYRA 60

Z prasy

St.K.

AMERYKAŃSKIE DYLEMATY 63

Informacje

Jan Garot

BEZROBOCIE W ROZWINIĘTYCH KRAJACH
KAPITALISTYCZNYCH 70

Dyskusje

Jarosław Ładosz

W SPRAWIE "SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ"
78

Drzazgi

Józef Zeten

CICHY WRZODAK

81

